



Co z Avią Świdnik?

str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

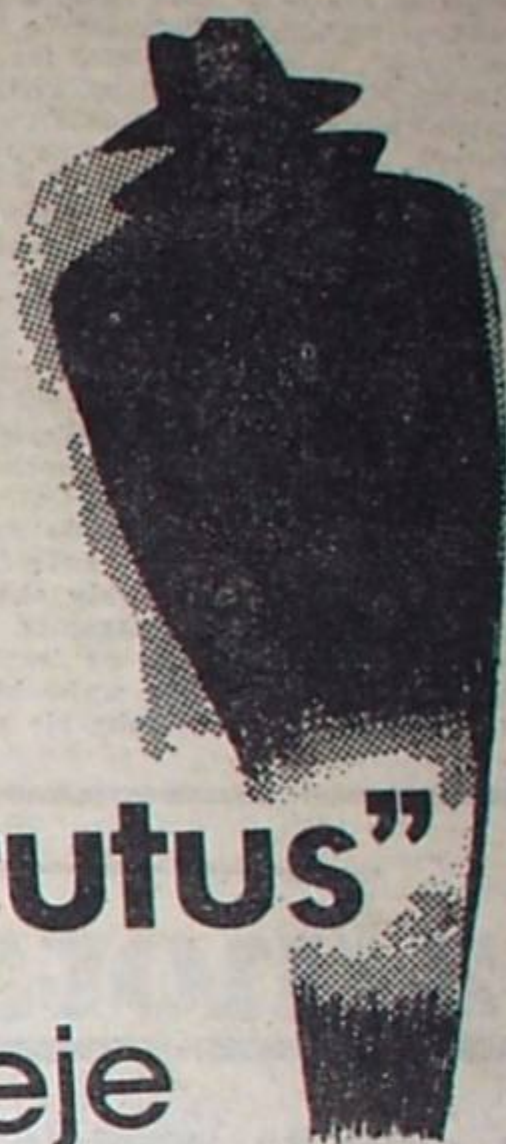
• ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 2 (848)

26 stycznia 1986

Cena 15 zł



„Brutus”
dzieje
superagenta
str.9

**PUŁAWSKIE
MOSTY** str.8



Brama mostowa (1916 r.)

Dziś „filipiaki” chodzą
po 150-200 tysięcy str.10



Władysław Filipiak w pracowni.

Fot. Andrzej Polański

NIEŚMIERTELNY KOŚMINEK
Rozwlekać cycki
dla pana Maczki str.5

RZEŹ NIEWINIATEK! str.3-4

KONGRES NADZIEI

NIE ma lepszego miejsca na świecie od Warszawy na urządzenie takiego kongresu — powiedział jeden z zachodnich uczestników debaty Intelektualistów w Obronie Pokojowej Przyszłości Świata, który po raz pierwszy przebywał w Polsce w 1944 roku, jako aliancki korespondent wojenny. Stwierdzenie tego starszego dziś mężczyzny, który zapamiętał też swój pobyt przed laty na Majdanku, mogłoby zastąpić rozwinięte uzasadnienie sensu warszawskiego spotkania 352 uczonych, pisarzy i artystów, z czego ponad połowę stanowili goście z 54 krajów świata.

Wymieniam te liczby z obowiązku jak to się mówi — dla porządku. Wielkości i znaczenia manifestacji na rzecz pokoju nie da się bowiem zmierzyć statystycznie, aczkolwiek fakt podpisania Apelu Sztokholmskiego w 1950 roku przez ponad 500 mln ludzi miał wymierny wpływ na przebieg wojny koreańskiej, unieruchomił broń atomową w amerykańskich arsenałach. Warto pamiętać o tym szczególnie wówczas, kiedy nachodzą nas wątpliwości, czy pokojowe kongresy, sympozja i apele faktycznie otwierają drogę do świata bez wojen. W tonacji gorzkiej ironii twierdzi się nawet, że wspomniane imprezy nabrały charakteru politycznego, są narzędziem propagandy. Gdyby było inaczej — dowodzi się — to na tragicznej liście konfliktów zbrojnych, jakie wybuchły w świecie po roku 1945, nie znajdowałoby się aż 150 „pozycji”...

Trudno się dziwić tym wątpliwościom — właśnie dzisiaj, kiedy potencjały militarne urosły do takich rozmiarów, że każdego mieszkańca kuli ziemskiej można zabić 19 razy, choć wystarczy przecięć jedną kulą w serce. Trudno się więc dziwić ludzkiej rozterce i niepokojom, których nie jest już w stanie ukoić nawet niebo — wpisane w plany „wojen gwiazdowych”. Ale jednocześnie trzeba zapytać, jak wyglądałby i czy w ogóle „wyglądałby” jeszcze świat, gdyby nie uporczywa, wieloletnia działalność milionów ludzi przeciw wojnom, zainicjowana właśnie przez Polaków, we Wrocławiu 1948 roku, kiedy to zrujnowane miasto podejmowało Międzynarodowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju.

Styczniowa (16-19) debata warszawska miała specjalny charakter: wręcz roboczej, skupionej na rady nad zasadniczymi problemami, które warunkują egzystencję ludzkości. Rozważano je w zespołach tematycznych o takich nazwach: główne zagrożenia pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego — metody i środki ich przewyżczenia; ochrona środowiska i zdrowia; globalne perspektywy gospodarki światowej i nowy ład międzynarodowy; wartości kulturalne wspólnym dziedzictwem ludzkości; wychowanie dla pokoju; działalność w obronie pokoju — szanse i perspektywy.

Uczestnicy kongresu reprezentowali różne opcje ideologiczne i światopoglądowe, niekiedy odmiennie też pojmowali hierarchię spraw zaognionych, a wymagających rozwiązania w skali globu. Przykładowo: dominikanin brazylijski, słynny Frei Betto, na pierwszym miejscu konfliktów umieścił ekonomiczną eksploatację Trzeciego Świata przez międzynarodowe koncerny Zachodu, gdy prof. Adam Bromke z Kanady uważał, że najpierw należy zredukować zbrojenia, unormować sytuację polityczną na linii Wschód — Zachód, likwidując tym samym groźbę totalnej zagłady cywilizacji, by następnie wreszcie materialnie Poludnie.

Bez cienia wątpliwości zgadzano się natomiast, że „grozi nam ostateczna zagłada”, jak jednoznacznie stwierdzono w posłaniu kongresu, które na zakończenie obrad odczytał prof. Marian Dobrosielski. Proponowano przy tym dwie zasadnicze drogi wyjścia z tej strefy zbiorowej śmierci. Jedną z nich wyznaczałyby systemy współpracy mię-

dzynarodowej w dialogu, drugą — rozwijanie indywidualnej autoakcji etycznej człowieka. Co ważne, pojmowano te drogi jako komplementarne, uzupełniające się wzajem, w rzetelnej samej nierozdzielnej. Znamienne, że w takim duchu wypowiadali się — m.in. w prasie, telewizji — marksści i wyznawcy różnych religii, socjaliści i liberałowie, zarówno uczone radziecki Roald Sagdiejew, jak i przewodniczący Klubu Rzymskiego Alexander King, artysta polski Józef Szajna i znany u nas ze swych kosmologicznych książek Holmar von Dittfurth z RFN.

Obrady poszczególnych zespołów kongresu toczyły się przy drzwiach zamkniętych, bez udziału 580 dziennikarzy, w tym 181 zagranicznych, jacy obsługiwali debatę. Chodziło o to, by uczestnikom spotkania zapewnić maksymalną swobodę wypowiedzi. Była to, jak stwierdzono na zakończenie, „wolna, twórcza dyskusja”.

Gdyby chcieć krótko sformułować generalną dyrektywę kongresu, to brzmiałaby ona chyba tak: należy głośno mówić o groźbie unicestwienia gatunku ludzkiego, ale trzeba czynnie się jej przeciwstawiać.

A gdyby spróbować określić tonację, jaka dominowała w kongresowych obradach, to należałoby użyć słów: realizm i nadzieja. Doprawdy, nie kierowano się tylko zyczeniem, adresując postanie warszawskiej debaty do narodów świata i konkretnie: do sekretarza generalnego ONZ, do Michała Gorbaczowa, Ronalda Reagana i wielu innych przywódców państw.

W ogóle zaś „dobrze jest, jeśli biskup rozmawia z generałem” — jak w swobodnej wymianie zdań z holenderskim duchownym Kokiem zauważył przewodniczący Rady Państwa, gen. Wojciech Jaruzelski, podejmujący w niedzielę uczestników kongresu.

KAM

z notatnika

Za czym ta nostalgia?

12 stycznia

Rocznicę śmierci Jerzego Wasowskiego, współtwórcy Kabaretu Starszych Panów, uczczono w Warszawie uroczystym koncertem nocnym w Teatrze Współczesnym. Teresę Krzemińską, która ów koncert obejrzała, nawiązała olbrzymia porcja „refleksji nostalgicznej”. Porcję tę zaszerwowała czytelnikom tygodnika „Odrodzenie” (nr 2) w felietonie pt. „Nostalgia”.

Zapewne, sądząc po wykonawcach, jak i po programie (śpiewano, jak pisze autorka, „nieśmiertelne piosenki z Kabaretu Starszych Panów”), impreza była wspaniała. Dziwi mnie jedynie, że koncert poświęcony pamięci Wasowskiego stał się dla Teresy Krzemińskiej okazją do utyskiwania w rodzaju: „Gdyby taka grupa miała szansę kształtować gust odbiorców telewizji!” Dziwi, bo nieco wyżej napisała, iż „ci profesjonalści [...] dają recitale, koncerty składankowe. Jedzą po Polsce, występują w klubach czy gdzie indziej. Można ich spotkać pojedynczo w różnych miejscach w kraju i nie w kraju”. Chciałbym zapytać, co dokładnie oznacza sformułowanie „gdzie indziej”? Sądząc, że Teresa Krzemińska wie o tym również dobrze, jak ja. I wie również, że był taki czas, kiedy to nie telewizja bojkotowała aktorów, ale aktorzy bojkotowali telewizję. Niektórych twarzy do dzisiaj nie widzi się w nowych programach. Czy za to należy winić prezesa Wojciechowskiego? Rzecz zrozumiała, że prezes też ma prawo wyboru i nie będzie błaganiem klękał przed artystą, który woli objawiać się gdzie indziej, prosząc go, by raczył pokazać się szerokim odbiorcom Telewizji Polskiej.

Teresa Krzemińska wspomina również z rozrzewieniem radiowe „60 minut na godzinę”, zupełnie zapominając o obliczu tej audycji jesienią 1981 roku, o tym, co ona wówczas tępiła i co wspierała. A ja dobrze pamiętam, jak potrakowano telewizyjne spotkanie z Bolesławem Cwiklą, który uzasadniał, dlaczego zdecydował się na wystąpienie z „Solidarności”, chociaż należał do jej czołowych działaczy w Lublinie. W tych „60 minutach na godzinę” żartowano nawet z jego nazwiska, co do elegancji nie należało!

To wszystko, o czym wyżej, nie zmienia mego negatywnego sądu o dzisiejszej rozrywce, prezentowanej na szklanym ekranie, choć w radio pod tym względem jest daleko lepiej niż było choćby przed rokiem czy dwoma. Niemniej przyczyn regresu szukałbym nie tam, gdzie próbuje je (nie tylko między wierszami) znaleźć Teresa Krzemińska, której punkt wi-

dzenia grzeszy wymowną jednostronnością.

I na koniec jeszcze jedna uwaga. Znamienne, że rocznicę śmierci Jerzego Wasowskiego uczczono nocnym koncertem z 12 na 13 grudnia a więc z czwartku na piątek. O ile wiem, teatry zwykle nie grywają w poniedziałki i wówczas to artyści uczestniczą w takich czy innych imprezach. Piątek stanowi normalny dzień pracy i ci widzowie, którzy przybyli późnym wieczorem, 12 grudnia, w czwartek, do Sali Teatru Współczesnego, musieli spać nieco krócej, by następnego dnia rano zdążyć do pracy. Czyżby wszyscy byli zatrudnieni na drugą zmianę? A może... Kropkę nad „i” niech już będzie uprzejma postawić sobie sama Teresa Krzemińska. Ja tylko przypominę, że Jerzy Wasowski zmarł 29 września 1984 roku; zorganizowanie uroczystego koncertu poświęconego jego pamięci nieco więc przeciągnęło się w czasie...

Bez smyczy i kagańca

17 stycznia

Zbigniew Miazga w dzisiejszym n-rze „Sztandaru Ludu” stwierdza, iż nie lubi, gdy mu zakładają kagańce, nie wówczas, kiedy chce poszukać. W dodatku, gdy ciągną jeszcze smycz. „W jednym słusznym (?) kierunku”. Niestety, myśli tej nie rozwija, mogąc więc tylko mniemać, że gdyby nie ów kagańiec i smycz (a swoją drogą ciekawe, kto trzyma za jej drugi koniec?), wówczas pożarliby recenzentkę „Kamena”, Lidie Wójcik, tak do kładnie, że nie ocalałoby nawet jej białe futerko. Lidia to jednak nie ulomek, ząbki też odpowiednio posiada, głos ma donośny, mogłaby więc z pewnością bez zbytniego trudu się obronić. Zupełnie niepotrzebnie wzięto więc Miazgę na smycz i założono mu kagańce (skórzany, czy druciany?). Dziwić się jednak, znając jego długoletnią bezkompromisowość, że wyraził zgodę na tak daleko idące ubezwłasnowolnienie. Ale, co kto lubi...

Nie mam zamiaru wyręczać Lidii i odpowiadać na czyjekolwiek ujadanie. Jeśli ona zechce, zrobi to zapewne lepiej ode mnie. Niemniej czas leci. „Kamena” ciągle jest dwutygodnikiem (mimo odpowiednich decyzji na bardzo wysokim szczeblu), obiad więc dawno zostanie zjedzony, nim na stole pojawi się musztarda. Stąd też i moje uwa-

Na wstępie pragnę zauważyć, że teatralna działka w „Kamieniu” nie przypadła Lidii Wójcik — jak sugeruje Miazga — w drodze losowania, choć nie wykluczam, że w innych re-

Cztery subtelne różnice...

...między red. Lidie Wójcik a red. Zbigniewem Miazgą: 1) red. Wójcik zna się na teatrze, albowiem posiada fachowe przygotowanie teatrolologiczne; 2) red. Wójcik poza spektaklami teatru lubelskiego ogląda jeszcze spektakle innych teatrów polskich, a czasem to i nawet zagranicznych, więc ma skalę porównawczą w tym względzie; 3) red. Wójcik nie jest kolegą dyr. Rozhina; 4) red. Wójcik jest młoda, ładna i wysoka.

...między Leonardą i Edwardem Łaniewskimi a niejakim „(sna)”: 1) Łaniewscy mają sukcesy, ponieważ są zdolni, pracowici i znają się na swojej robocie; 2) Łaniewscy nie zazdroścą nikomu jego pieniędzy i nie są dręczeni kompleksami niedowartościowania; 3) Łaniewscy występują publicznie, nie kryjąc się pod kryptonimami; 4) Łaniewscy są ludźmi kulturalnymi i nie nazywają nikogo np. Piętaszkiem pióra.

M. Podgórski

dakacjach praktykę taką się stosuje. Recenzje tej autorki ukazują się często na łamach specjalistycznego pisma o nazwie „Teatr”, gdzie, jak mam prawo sądzić, pracują odpowiedni fachowcy, umiający oddzielić ziarno od plewy. Najwidoczniej Miazga, jeśli wspomina o losowaniu „Teatru” nie czytuje (a szkoda, może znalazłby tam więcej smakowitych kości). Oczywiście wolno mu dobierać sobie lekturę według własnych upodobań, niemniej, gdy już zajmuje się problemami kultury (w tymże samym n-rze „Sztandaru”), są aż trzy teksty podpisane jego nazwiskiem!, powinien rozszerzyć wachlarz swych zainteresowań chociażby w celach samokształceniowych.

Lidia Wójcik wspominała w swym felietonie (?), że reżyser i scenograf, których nazwiska widnieją na afiszu, nie przynajmniej do autorstwa przedstawienia. W związku z tym Miazga pisze, i to nawiasowo: „Temat to szerszy, powiedzmy o poincie — wątpliwości zostały rozstrzygnięte na korzyść Teatru im. Osterwy”. Nie mam podstaw, by podawać to autokratycznie stwierdzenie, ale... W grudniu ub.r. do redakcji „Kamienia” nadszedł list podpisany przez Grażynę Stando (scenograf) i Jacka Zembruskiego (reżysera), którzy napisali tak: „Dnia 23 listopada 1985 r. w Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie odbyła się premiera sztuki J. P. Sartre'a: „Przy drzwiach zamkniętych”. W związku z tym pragniemy złożyć następujące wyjaśnienie. Zgodnie z zawartą umową we wrześniu tego roku przygotowaliśmy w Teatrze im. J. Osterwy spektakl o tym samym tytule. Z winy zamawiającego do premiery nie doszło [...] Zdefiniowane przez siebie przedstawienie dyrektor teatru podpisał naszymi nazwiskami! Pozostawiając bez komentarza specyficzne manery dyrektora Andrzeja Rozhina, oświadczamy, że nie godzimy się na przypisywanie nam autorstwa eksploatowanego w Teatrze im. J. Osterwy przedstawienia”.

Listu tego, przynajmniej z i s z z a-

lem, nie wydrukowaliśmy, nie chcąc, aby „Kamień” wykorzystywano do rozgrywek wewnątrzteatralnych. Sprawa stała się jednak publiczną, ponieważ „Tygodnik Powszechny”, lubujący się w sztuce epistolarnej i nie mający moich skrupułów, list ów bez komentarza w n-rze 51-52 opublikował. Jeśli w tzw. międzyczasie pointa została dopisana, to nie poinformowano o tym szerszej opinii publicznej. Tym bardziej więc sformułowanie Miazgi („wątpliwości zostały rozstrzygnięte” etc.) powinno być poparte o d p o w i e d n i m i a r g u m e n t a m i

Żeby zbytnio się już nie rozwodzić, dodam, iż recenzja (choćbytnie jaka — z przedstawienia teatralnego, wystawy plastycznej, książki) zawsze jest indywidualną oceną autora, którego kompetencje dana redakcja, zamieszczając konkretny tekst, uznaje. Tylko przy dziełach wybitnych (a ile ich mamy?) następuje zbliżność sądów, chociaż i tutaj zdarzają się odstępstwa. Można kota zagłaskać na śmierć, można też poszczuć go psami. W tym ostatnim wypadku schroni się on na drzewie, ironicznie spoglądając na swoich gnębieli. Prędzej czy później psom znudzi się obława, a kot, żywy, pójdzie swoją drogą.

Na zakończenie tej kwestii pozwolę sobie wyrazić taką myśl: nigdy nie będzie dobrze w Lublinie, jeśli każdej odmiennej opinii będzie się przyczepiać etykietkę p a s z k i l, a jakkolwiek krytykę zjawisk kulturalnych (również książki miejscowego literata) uważać za obrazę majestatu.

Gdyby Andrzej Rozhin, którego powrót do Lublina serdecznie powitaliśmy w „Kamieniu”, rzeczywiście poczuł się urażony, nie musiałby szukać adwokatów. Łamy naszego pisma zawsze są otwarte dla polemiki, czego dowodem jest chociażby drukowany na 11 stronie tego numeru list dziewcząt z Lubartowa, którym nie podobają się sady i Grabowskiego. List ów wydrukowaliśmy bez skrótów, choć — jak wynika z odpowiedzi autora — obie zainteresowane strony pozostały na swoich dotychczasowych pozycjach.

I kiedy już jestem przy „Sztandarze Ludu”... W dzisiejszym numerze znalazłem też rozmowę Waldemara Piaseckiego z przewodniczącym komitetu olimpiady polonijnej. Pierwsze (złożone z kilku) pytanie zadane profesorowi S. brzmi: „Panie profesorze, co to za nowa olimpiada? Kto ją organizuje? Po co? Dla kogo?” Surrealizm publikacji polega na tym, że nie kto inny, jak właśnie Waldemar Piasecki był inicjatorem tej olimpiady, więc on zna najlepiej zarówno pytania jak i odpowiedzi. Ponieważ impreza zapowiada się ciekawie i w przyszłości z lokalnej może nawet stać się ogólnopolską, warto — już bez żadnej złośliwości — ujawnić nazwisko pomysłodawcy, którego skromność warta jest naśladowania nie tylko przez dziennikarzy.

W telegraficznym skrócie

18 stycznia

Zbigniew Miazga kompletnie zdefiniował mój notatnik i polemika z nim zmusiła mnie do wykreślenia słów uprzednio już napisanych. Wracam jednak do nich, ale w telegraficznym skrócie.

Dokończenie na str. 10

OŁOMUNIEC LUBLINOWI BRATEM

Henryk Gmiterek

MIASTO Olomuniec, dookoła rzeką Morawą otoczone, najprzedniejsze miejsce w tym to Margrabstwie Morawskim zajmuje. Dobrze walamy i wszystkim, co do obrony potrzebne, zabezpieczone. Taką wizytówkę wystawił Olomuniecowi polski pisarz, heraldyk, po części historyk, a przy tym niefortunny polityk — Bartłomiej Paprocki w wydawnym w 1593 r. opasłym dziele „Zrcadlo slawného Markrabství Moravského” („Zwierzciadło sławnego Margrabstwa Morawskiego”). Ten szlachcic z Mazowsza spędził na emigracji w Czechach przeszło dwadzieścia lat. Podróże i liczne kontakty, nawiązane w tym czasie z tutejszą elitą polityczną i intelektualną, umożliwiły mu poznanie kraju i ludzi jak mało ktemu z ówczesnych Polaków. Możliwości obronne Olomuńca Paprocki wszakże przecenił. W 50 lat po ukazaniu się „Zrcadla...” miasto przeżyło największą w swych już wówczas przeszło 500-letnich dziejach klęskę. W latach czterdziestych XVII wieku, w czasie wojny trzydziestoletniej, zostało zdobyte, a następnie zrujnowane i ograbione przez wojska szwedzkie. Z kwitającego centrum politycznego i kulturalnego Moraw spadło do roli jednego z niewielu znaczących ośrodków.

W następnych dziesięcioleciach Olomuniec stopniowo podnosił się z upadku. Miasto ożywało na nowo, przybierało budowlę, zwłaszcza pięknych barokowych obiektów architektonicznych, nadających mu do dziś niepowtarzalny koloryt. Funkcję stolicy Moraw utracił jednak Olomuniec bezpowrotnie na rzecz Brna.

W XVIII w. położenie strategiczne wyznaczyło Olomuniecowi nową rolę. Po zagarnięciu Habsburgom Śląska przez Prusy gród nad Morawą miał zabezpieczać północne granice monarchii rakuskiej. W latach czterdziestych-pięćdziesiątych tego stulecia Austriacy zbudowali cały system umocnień, bastionów, obiektów wojskowych, przekształcających miasto w mocno ufortyfikowaną twierdzę. W jej obrębie umiejscowili też słynne więzienie dla niepokornych poddanych Jego Cesarskiej Mości, przez które przewinęło się nie mało Polaków, zwłaszcza z Galicji. Olomuniec-kie kazamaty poznał między innymi Hugo Kołłątaj.

Bogata przeszłość miasta pozostawiła do dziś w jego pejzażu swoje nader obfite ślady. Nie brakuje obiektów najstarszych, wznoszonych jeszcze w stylu romańskim, choć później przebudowywanych i modernizowanych. Mnóstwo tu zwłaszcza zabytków renesansu i baroku. Cały kompleks staromiejski, znakomicie zresztą zachowany, stanowi dziś pieczołowicie chroniony zespół zabytkowy. Jego najbardziej charakterystyczne akcenty to katedra św. Wacława, rynek Starego Miasta z pięknym ratuszem i oryginalną kolumną Trójcy Św., budynki po Akademii Olomunieckiej i wspólnie barokowe fontanny. Stan zachowania tych zabytków sprawia, że jest to drugi pod względem rangi (po Pradze) kompleks urbanistyczny w całej Czechosłowacji.

Dzisiejszy Olomuniec liczy przeszło 100 tys. mieszkańców i należy bez wątpienia do największych miast na Morawach. Na obrzeżach starych dzielnic wyrosły nowoczesne osiedla, funkcjonalne i umiejętnie wkomponowane w naturalne otoczenie. Uroku miastu dodaje bogactwo zieleni. W rozległym Parku Smetany, zarazem ogrodzie botanicznym, odbywają się latem międzynarodowe wystawy kwiatów „Flora Olomouc”, jesienią zaś wystawy ptaków ozdobnych „Exota”.

Olomuniec jest miastem młodości. Prężny ośrodek uniwersytecki, kontynuujący przeszło 400-letnie tradycje akademickie, wywiera widoczny wpływ na rytm codziennego życia miasta. Placówek naukowych i kulturalnych jest tu zresztą więcej. Biblioteka Naukowa posiada jeden z

najbogatszych w Czechosłowacji zbiorów starodruków i wielusettyśięczny księgozbiór wydawnictw nowszych. W jej zasobie pokazuje się część stanowiąca wszelkiego rodzaju polonika. Poloników nie brakuje też w bogatych zbiorach dwu miejscowych archiwów. W mieście działają trzy sceny teatralne, w tym jedna Státní divadlo Oldřicha Stibora — sięgająca tradycją połowy XIX wieku.

Olomuniec od stuleci zajmował ważne miejsce w dziejach stosunków Polski i Czech. Przypomnijmy, że tutaj właśnie zamordowany został w 1306 r. król czeski Wacław III, podążający do Krakowa dla objęcia również tronu polskiego. Do założonej przez jezuitów w 1576 r. Akademii ściągali przez wiele lat dziesiątki studentów polskich. Zdobywali tutaj wiedzę, przyczyniając się do podtrzymywania tradycji bliskich związków dwu sąsiednich narodów słowiańskich w okresie, gdy warunki tych stosunków — spowodowane wejściem Czech w orbitę wpływów Habsburgów — nie były najkorzystniejsze. War-



Katedra św. Wacława.

Rys. Józef Tarłowski

to dodać, że w bibliotekach pozostała spora liczba późnohumanistycznej okolicznościowej poezji, wydawanej przez — między innymi — polskich studentów w oficynach miejscowych drukarni. Nocował w Olomuńcu zdrajca pod Wiedem Jan III Sobieski i choć czasu na zachwycanie się urokami miasta nie miał wiele to w jednym z listów do królowej Marysieńki pisał, że niektóre budowle tak są wspaniałe, iż „mogłyby stać wśród Rzymu”. O grodzie nad Morawą sporo wyczytać można w polskiej literaturze pamiętnikarskiej i podróżniczej. Przez całe stulecie miasto stanowiło nadto jeden z ważniejszych ośrodków polskiego handlu z południem Europy. Tradycje te podtrzymywane są do dzisiaj. Poza znaczną liczbą turystów z Polski zawsze spotkać można na ulicy kogoś z licznej grupy Polaków studiujących na tutejszym uniwersytecie

czy pracujących w olomunieckich zakładach przemysłowych.

Lublinianin styka się z innymi jeszcze skojarzeniami przypominającymi mu jego miasto. Pod koniec XVI w. studiował w Olomuńcu, a potem pracował w kancelarii biskupów olomunieckich Andrzej Muskała z Lublina. Natomiast jeden z najbardziej zasłużonych dla tego miasta barokowych malarzy nosił jakże swojsko brzmiące nazwisko — Martin Antonín Lublinský, choć z Lublinem niczego wspólnego nie miał. W czytelni Biblioteki Naukowej można sięgnąć na półkę z bieżącymi numerami lubelskiej „Kamery”. Ma Olomuniec także swoją Bystrycę, wartko płynącą rzeczkę, wpadającą niemal w centrum miasta do głównego nurtu Morawy.

Współczesne związki Olomuńca z Lublinem to jednak przede wszystkim trwająca już sporo lat bliska współpraca dwu uniwersytetów: olomunieckiego Uniwersytetu im. Palackiego i Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Przejawia się ona w ścisłych kontaktach naukowych, współuczestnictwie w sesjach, sympozjach, konferencjach organizowanych przez poszczególne instytuty i katedry, w wymianie lektorów, stażystów i grup studenckich. Kontakty te niewątpliwie dobrze służą współczesnym potrzebom nauki i kultury obydwu narodów. Wiele wspólnych przedsięwzięć mają na swoim koncie na przykład historycy. Na szczególne podkreślenie zasługują jednak rezultaty współpracy sławistów obydwu uniwersytetów. Ukazało się dotychczas kilka tomów studiów lubelsko-olomunieckich, gromadzących bogactwo przemysłów z zakresu kultury literackiej, a także z problemów historii rozwoju i współczesności języków słowiańskich.

Olomunieckie środowisko polonistyczne podejmuje zresztą cały szereg — ważnych również z punktu widzenia nauki i kultury polskiej — inicjatyw badawczych i popularyzatorskich. Wspomnieć można choćby o badaniach dr. Edvarda Lotko, autora podręcznika języka polskiego dla polonistów czeskich i — wysoko ocenionej w polskiej literaturze fachowej — książki o problemach języka polskiego i czeskiego w praktyce translacyjnej. Dr E. Lotko pracuje obecnie nad słownikiem wyrazów, określanych mianem „fałszywych przyjaciół tłumacza”. Są to słowa, których znaczenie — mimo dużego podobieństwa fonetycznego w języku polskim i czeskim — jest nieraz diametralnie różne. Zjawisko to jest znane każdemu, kto próbował konwersacji w obydwu, bliskich sobie skądinąd językach. Słownik będzie zawierał około 2 tysięcy takich wyrazów, choć nie wyczerpie całości problematyki. Staropolskiej literaturze, zwłaszcza tzw. literaturze sowizdrzałskiej oraz twórczości Bartłomieja Paprockiego, poświęca swoje zainteresowania naukowe dr. Maria Sobotková, autorka kilku publikacji z tej dziedziny. Problematyka polska i związków polsko-czeskich pojawia się też często w badaniach innych pracowników Katedry Bohemistyki i Sławistyki olomunieckiej uczelni. Duży wkład wnoszą oni w organizowane każdego roku Dni Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej w Olomuńcu, stanowiące przegląd osiągnięć kultury polskiej i stwarzające okazję do sympozjów naukowych poświęconych tradycjom i współczesności stosunków z naszymi południowymi sąsiadami. Za osiągnięcia w tej mierze Zakład Polonistyki olomunieckiego uniwersytetu został w bieżącym roku wyróżniony specjalnym dyplomem przez rząd Republiki Czechosłowackiej.

Napisałem o niektórych tylko aspektach tradycji i współczesności kontaktów Olomuńca z Polską, w tym także z Lublinem. Choć nie wyczerpują one ich bogactwa i różnorodności, sądzę, że warto było je przypomnieć.

O edukacji prawnej

Rzeź niewiniątek

Hubert Jesipowicz

KAZDEGO roku wrzesień i październik są miesiącami, w czasie których, na zakończenie dwuletniego okresu aplikacji, odbywają się egzaminy sędziowskie. Egzaminy, po których młode kadry zasiadają armie Temidy, zasiadając za stołami sędziowskimi, głównie w sądach rejonowych.

Rok ubiegły był trzecim z kolei rokiem obowiązywania nowego regulaminu dotyczącego egzaminów sędziowskich. Jego podstawową cechą jest zastrzeżenie kryteriów ocen, co z kolei — zgodnie ze statusami założeniami Ministerstwa Sprawiedliwości — ma na celu podniesienie poziomu wiedzy i umiejętności młodych sędziów.

Nasuwa się pytanie, czy wyjątkowo ostro selekcja na egzaminie sędziowskim jest tą metodą, która w pełni

pozwoli ów cel zrealizować? Odpowiedzią niech będzie inne pytanie, a mianowicie, czy można zbudować dom, poczynając od konstruowania dachu, choćby najbardziej solidnego?

Daleki jestem od głoszenia hasła o konieczności liberalizacji egzaminu. Nie w tym rzecz i nie tutaj zaczyna się seria błędów. Błędów, w których rezultacie liczba ocen niedostatecznych w każdym z pięciu utworzonych w całym kraju okręgach egzaminacyjnych dochodziła w 1984 roku nawet do 30 proc. Przykładowo w okręgu lubelskim ze 114 osób z dziesięciu województw pomyślnie przebrnęło przez gęste sito egzaminacyjne tylko 78 aplikantów. Komisja postawiła jedynie trzy oceny bardzo dobre. Przy ocenie egzaminu pisemnego i odpowiedzi ustnych zastosowano nowy system punktacji, w którym można było osiągnąć maksimum 120 punktów. Nikt ze zdających nie przekroczył nawet granicy 100 punktów!

Prawda o „rzezi niewiniątek” — jak określali egzamin aplikacyjny — leży, jak zwykle, gdzieś pośrodku, między narzekaniem komisji egzaminacyjnej

na niski poziom przygotowania aplikantów, a narzekaniem aplikantów na zbyt wysokie wymagania im stawiane. Do wspólnego mianownika sprowadza wzajemne pretensje główna, jak myślę, przyczyna zaistniałej sytuacji, którą jest błędny system edukacji prawnej. W całym zresztą społeczeństwie.

Prawo jest dyscypliną, jakiej elementów nie sposób doszukać się w którymkolwiek przedmiocie nauczonym w szkołach. O ile dla przyszłych medyków takie przedmioty jak fizyka, chemia stanowią w pewnej mierze wprowadzenie w tematykę studiów, o ile student uczelni politechnicznej od szkoły podstawowej zapoznawał się z tajemnicami matematyki i fizyki (że o studentach historii, geografii i wszelkich filologii już nie wspomnę), o tyle początkujący student prawa jest po-

Dokończenie na str. 4

PZU i cztery kółka

Tu coś zawsze dzieje się

Wiesław Horabik

SECESYJNY gmach na rogu Nadstawnej, chyba z początku wieku, ozdobiony jest na szczycie jednym z niewielu pozostałych jeszcze w Lublinie neonów (czas oszczędzania, a klient i bez reklamy kupi wszystko!). Przy chodniku rząd samochodów — z powgniataną blachą, rozbitymi światłami, bez bocznych lusterek, z innymi ułomnościami — czeka na wnikliwe oko rzeczoznawców. „Oho, po świetach zebrało się sporo kalek” — mówi do mnie taksjarski.

Wysoki parter, szerokie schody, wyslizgane stopami niezliczonych petentów. Przed okienkiem 27 klebi się tłum niecierpliwych. Czasami wybuchną głośniejsze emocje. Za szybami z matoowego szkła rzędy biurka obłożone papierami, pochylone głowy. Atmosfera ruchu i pośpiechu; tego widocznego i dosłownego, i tego skupionego, ukrytego przed wzrokiem. Tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze, górę bierze niecierpliwość.

— Człowieku, państwu dać trzeba, ale wyciągnąć od niego choć grosz, to dużo kosztuje — mówi pan Marian. — Tylko patrzeć, by kogoś oszukać!

Dyrektor IV Inspektoratu PZU, tego od samochodów, Karol Rozyn jest innego zdania. I nie dziwota.

— To obiegowe porzekadło. Działamy sprawnie. Reforma funkcjonuje u nas od początku. Od... 1803 roku — żartuje. — Wszystkie przypadki staramy się załatwiać szybko i solidnie. Mamy nawet limit trzydziestu dni na sprawę. Każdy rodzaj petycji trafia od razu do odpowiedniego człowieka. Taki rozdział gwarantuje fachowość usługi. Dziś jeszcze często pracownicy zabierają papiery do domu. Już niedługo wspomogą ich komputery. To potrzeba chwili.

Spraw wciąż bowiem przybywa. Gwałtowny rozwój motoryzacji lat siedemdziesiątych pociągnął za sobą skutki uboczne. Uaktywnił amatorów łatwego zarobku. Postępujące braki rynkowe sytuację jeszcze zaostrzyły. Prawdziwy boom zaczął się z począt-

kiem lat osiemdziesiątych. Z ogólnym chaosem i wciąż potęgującą się drożyzną. Wzrosły więc wypłaty odszkodowań, wzrosły i obroty zakładu. Pełny ruch w interesie trwa do dziś. 40 pracowników musimy uporać się z 11 tysiącami zgłaszanych rocznie szkód. 1380 przypadków kradzieży pojazdów w ubiegłym roku to już oddzielny temat. Kapitał zakładowy liczy się w miliardy. Mogą więc w tym poczuciu zasobności i w tym pośpiechu zdarzyć się i pomyłki. Zwłaszcza, że człowiek jest ułomny...

Pan Czesław, kierowca taksówki, aż podskoczył, gdy wspomniałem o PZU.

— Agentka pomyliła się w obliczeniach składki o 50 groszy od tysiąca złotych — mówi. — Spalił mi się garaż. Policzyła po prostu za inny typ. Nic od nich nie dostałem. — Może i mógłbym wywalczyć te pieniądze po paru latach szarpaniny w sądzie. Machnąłem ręką. Mogę panu pokazać papiery. Jeszcze mi pozostały.

IV Inspektorat zatrudnia z reguły młodych ludzi. Przychodzą tu po maturze, czasami z dyplomami ekonomisty czy prawnika. Przeważają kobiety. Średnia pensja miesięczna: 11–12 tysięcy złotych. Kokosów więc nie ma. Klasno tu i hałaśliwie. Poczucie humoru jednak niczym z Monty Pythona. Kiedy skradziono mi dwa, świeżo ogumione koła, pani przyjmująca zgłoszenia poradziła, bym podjechał bez nich pod zakład. Inspektorów może przysłać najwcześniej za miesiąc. Są pilnie zajęci. „A koła może pan pożyczyć od sąsiada” — dodała. (To fakt, że była ładna).

— Jak pan to wytłumaczy, dyrektore?

— Tylko jako żart!

Klienci, czekający na ekspertyzę, przestępują niecierpliwie z nogi na nogę. Duży ścienny zegar odmierza wolno minuty z regularnym stukiem. Niektórzy schodzą na niski parter na szybkiego papierosa. Tu wolno palić. Do pokoju ekspertów wciąż ktoś przemyka z plikiem dokumentów w garści. Okienka, wydzielone na kasy, pozabawione są interesantów.

— Już siódmy miesiąc czekam na odszkodowanie — mówi pani Ewa.

— Czy to możliwe? — pytam dyrektora.

— Sprawa rekompensat za kradzież — nie zależy tylko od nas. Każdy fakt przestępstwa zgłaszany jest najpierw milicji. Nie możemy dokonać wypłaty do momentu otrzymania od niej informacji o zamknięciu śledztwa. Czasami potrzebna jest obserwacja danego środowiska i cała rzecz przedłuża się w czasie. Apelowaliśmy do komendantów posterunków o jak najszybsze przekazywanie akt. Pewnych spraw nie da się jednak przeskoczyć.

Wypłaty odszkodowań to nie tylko kradzieże. To także stłuczki i poważniejsze wypadki. Ich liczba stale rośnie. Najczęściej mają kłopoty ci od brawury i początkujący. Niektórzy trafiają tu po kilka razy w roku. Zakład przewiduje dla nich w przyszłości specjalne antypremie. Jeśli za jazdę bez wypadków należy się ulga, to za ich obfitość stuszny będzie domiar.

Solą w oku petentów jest jednak udział własny.

— W ubiegłym roku mój znajomy miał wypadek. Wbiegł mu pod samochód pijany. Nie mógł tego uniknąć. Nie się zresztą pijakowi nie stało. Każdy to potwierdził. Także „drogówka”. Pan Janusz zapłacił jednak osiem tysięcy!

— W takim przypadku opieramy się na rozporządzeniu Rady Ministrów. Dziennik Urzędowy nr 6, pozycja 20 z dnia 6 lutego 1985. Zakłada ono wkład własny klienta przy kolizji z przedmiotem martwym lub osobą fizyczną. Wynika to z przekonania, że naprawdę ostrożny kierowca nie ma wypadków. Ta sprawa istotnie najbardziej bulwersuje naszych interesantów.

— Czy dużo skarg rozpatruje pan dziennie?

— Przeciętnie dwie, trzy.

— Na co jeszcze skarżą się przychodzący tu ludzie?

— Najczęściej na rzekomo źle wyliczone odszkodowanie. Podstawą szacunku jest dla nas cena fabryczna. Klienci pragną cen giełdowych.

Działalność w tym gmachu ma dwa oblicza. Jedno to gra przepisów, paragrafów i ustaw. Drugie to głos ludzkiego wybrzydzenia. Spokojny ton dy-

rektorskich wyjaśnień zderza się z podnieconymi okrzykami przy okienku. Zebrane tu opinie petentów są plonem jednego tylko dnia.

— Czy obowiązkowe składki nie są zbyt wysokie? — pytam dyrektora.

— Absolutnie, nie. Obligatoryjne ubezpieczenie musi mieć się w granicach opłacalności. Dla przykładu w takiej RFN pobiera się składki w granicach 10–13 proc. wartości pojazdu. Tymczasem u nas opłata wynosi około 2 proc. Przy oprocentowaniu zachodniemieckim właściciel poloneza musiałby płacić około 100 tysięcy złotych rocznie.

Skąd więc biorą się niemałe przeciętne zyski przedsiębiorstwa? Jak wiem, niejedynemu agent miał ochotę na podobną działalność. Sam dyrektor przyznaje, że „w tym interesie nie ma deficytu”. A skoki cen? Na pewno sprzyjają zakładowi. Wysokość zysków może zilustrować fakt, że IV Inspektorat pobiera składki tylko z Lublina, prowadzi zaś obsługę szkód dla miasta i dodatkowo dwudziestu gmin. A jednak wypłaty przekroczyły znacznie ilość wypłat. Potencjalny agent miał więc nosa. Z projektu jednak nie nie wyszło. Obowiązek ubezpieczenia jest bowiem państwowym aktem prawnym. I tak PZU pozostaje monopolistą na tym chłonnym rynku.

— Czy zatrudniacie prywatnych detektywów?

— Nie, choć wielu ludzi pragnie zmaksymalizować swoje straty. Dorzuca więc przy okazji ubytki powstałe już wcześniej. Czasami wystarcza porównanie zgłoszeń: naszego i z milicji. Najczęściej jednak pomaga nam rutyna.

— A radio, magnetofon i inne tego typu wyposażenie?

— Zuracam, jeśli to wszystko było montowane fabrycznie. W przeciwnym wypadku doszlibyśmy do absurdu. W starej syrenie ktoś mógłby mieć odtwarzacz za 400 dolarów. Odszkodowanie byłoby równe wartości samochodu!

Przy okienku 27 znów podniecone głosy. Przed kasami nadal pustki. W większości operacji pośredniczy przecież poczta. Nawet opłata jest zryczałtowana.

— Jak długo pan tu już pracuje, dyrektore?

— Trzydzieści trzy lata. I niech mi pan wierzy, że się nie nudzę. Każdy przypadek jest inny, swoisty. Ciągle coś się dzieje.

Jakby na potwierdzenie tych słów, w chwili, gdy opuszczam już gmach, podbiega do mnie pan Henryk. Szepcze mi nachalnie do ucha:

— Panie, miałem stłuczkę jednym samochodem, to zabrali mi premię za wszystkie trzy.

Rzeź niewiniątek

Dokończenie ze str. 3

zbawiony jakichkolwiek wcześniej-
szych doświadczeń z zakresu jego studiów. Naukę należy więc zaczynać od początku.

A przecież ten stan rzeczy można łatwo zmienić, wprowadzając choćby tylko fakultatywnie, choćby tylko w liceach, przedmiot pod nazwą „elementy prawoznawstwa”, który z powodzeniem stanowiłby jakąś taką bazę dla przyszłych prawników, a także rozszerzyłby ogólną wiedzę wszystkich uczniów.

Ala taki „numer” ze szkołami nie przejdzie. Oto działający przy Zarządzie Wojewódzkim ZSPM Wojewódzki Ośrodek Społeczno-Prawny z inicjatywą jego przewodniczącego, sędziego Sądu Wojewódzkiego w Lublinie Marka Maciaga, wystosował — wspólnie z Kuratorium Oświaty i Wychowania — pismo do wszystkich szkół z propozycją wprowadzenia serii wykładów z dziedziny prawa. Ośrodek zapewnił wykładowców, którymi mieli być sędziowie, prokuratorzy i kuratorzy. Nadeszły tylko dwa (sic!) zgłoszenia! Żeby było śmieszniej obydwa ze szkół zawodowych. Licea, jak widać, nie są tą inicjatywą zainteresowane, pomimo iż z tych szkół w zdecydowanej większości rekrutują się studenci prawa.

To znaczy nie są zainteresowane dyrektorki tych szkół, bo jestem przekonany, że wielu uczniów z zadowoleniem przyjęłoby taką propozycję.

Kolejnym błędem i wielkim nieporozumieniem jest sam program studiów prawniczych. Przedłużenie ich do lat pięciu, zamiast pozwolić na rozszerzenie nauki podstawowych przed-

miotów, dało tyle, że absolwenci prawa, kończąc studia, są o rok starsi i o rok później rozpoczynają start zawodowy, co jest akurat najmniej pożądanym efektem.

Z niewiadomych mi przyczyn, z uporem godnym lepszej sprawy, foruje się ekonomię polityczną. Zajmuje ona 45 godzin wykładów (do niedawna 60) i tyleż godzin ćwiczeń, a więc tyle samo, co tak podstawowe przedmioty jak procedura cywilna i karna. I jeżeli w grę wchodzi tu jakieś pryncypia ideologiczne i polityczne, to, jak sądzę, większą dla nich korzyścią będzie zwiększenie godzin właśnie z tych dwóch przedmiotów. Natomiast całe ważne i wielce skomplikowane funkcjonowanie sądów zostało sprowadzone do 45 godzin wykładów i ćwiczeń! A swoją drogą dodatkowo dziwny jest fakt, iż dla Kodeksu Postępowania Karnego przeznaczono tyle samo czasu, co dla Kodeksu Postępowania Cywilnego, aczkolwiek zawiera on o połowę mniej artykułów.

Analizując program studiów prawniczych w kontekście egzaminów sędziowskich z 1984 roku stwierdzam, iż nikt i nikogo nie pytał z filozofii (45 godz. wykładów i 30 godz. ćwiczeń), ani z socjologii prawa (odpowiednio 30 i 15), ani z prawa rzymskiego (45 i 45), historii ustroju Polski (60 i 30), historii prawa (45 i 30), prawa zarządzania gospodarką narodową (45 i 45) etc.

Natomiast podstawowymi przedmiotami były wspomniane procedury, prawo karne (60 i 60), cywilne (120 i 120), przy czym jest to praktycznie pięć

przedmiotów) i istny moloch, wiecznie ulegający zmianom, o czym niedawno w TV mówił wiceminister sprawiedliwości, dr Jan Brol (przewodniczący komisji egzaminacyjnej w okręgu lubelskim) — prawo pracy i ubezpieczeń społecznych (60 i 60!). Nie miał szans na zdanie egzaminu ten, kto nie znał prawa karnego wykonawczego — (45 godzin tylko wykładów) i prawa o wykroczeniach i karno-skarbowego, które w programie pojawiają się tylko jako przedmioty specjalizacyjne w bloku karnym z 30(!) w sumie godzinami wykładów.

Aby rzecz dopowiedzieć do końca, dodam, że wśród przedmiotów specjalizacyjnych bloku karnego ukrywa się (z 15 godzinami samych wykładów) przedmiot pod tajemniczą nazwą „Wybrane zagadnienia części szczególnej prawa karnego”. Oznacza to ni mniej ni więcej tylko tyle, że do owych kilkunastu godzin sprowadzono jedną z najistotniejszych i nierzadko wielce skomplikowanych kwestii w procesie karnym, a mianowicie kwalifikację prawną czynu. I przed błędem w wykładni prawa karnego materialnego nikogo nie uratuje znajomość logiki dla prawników (30 i 15), czy systemu prawnofinansowego przedsiębiorstw (30 i 15). Nawiasem mówiąc, jaki jest ów system, każdy sam widzi.

Daleki jestem od kwestionowania zasadności istnienia w programie studiów przedmiotów ogólnych czy historycznych. Ich poznanie ułatwia naukę przedmiotów zasadniczych i jest częścią szeroko rozumianej świadomości i kultury prawnej. Jestem jednak zdecydowanie za wprowadzeniem właściwych proporcji, a jest to tym bardziej możliwe, że tok studiów przedłużono o rok. Nie należy się bać zbytniego obciążenia studentów nauką, zwłaszcza, że zdobyta wiedza będzie procentować.

A procentować będzie tym bardziej, im więcej do programu studiów wprowadzonych zostanie zajęć praktycznych. Jest to warunkiem sine qua non należytego przygotowania zawodowego przyszłych prawników. Obecnie obowiązują trzy praktyki: administracyjna, cywilna i karna. Trwają od dwóch do trzech miesięcy. Z czystym sumieniem można stwierdzić, że nie dają one nawet ogólnej orientacji w praktycznym stosowaniu przepisów prawa, rodzą natomiast dość dramatyczne pytania o przydatność zdobywanej wiedzy. Gdzie te czasy i gdzie ci wykładowcy, którzy w wyśmienity sposób, godząc teorię z praktyką, organizowali w czasie zajęć „procesy na niby”, tyleż nieskomplikowane, co kształcące?

Obrona pracy magisterskiej kończy studia, nie kończy jednak (na szczęście!) nauki. Zdecydowanych na zawód stricte prawników czeka jeszcze lata aplikacji. Dla przyszłych sędziów są to dwa lata, w czasie których trzeba oswoić się z koniecznością stosowania czysto teoretycznych wiadomości w praktyce, a mówiąc po prostu — nauczyć się pracować w oparciu o posiadaną wiedzę. Pół błędy z aplikantami etatowymi, którzy dzień w dzień pracują w sądzie. Jakże szanse mają jednak aplikanci pozostawieni, dla których program przewiduje zajęcia praktyczne raz w tygodniu?

Spotykają się później — wszyscy ci, którzy przebyli ową długą drogę — na egzaminie sędziowskim, od którego rozpoczęłam powyższe rozważania, egzaminie, na którym lata ich pracy są w bezwzględny sposób, dla dobra — oczywiście — sprawiedliwości, weryfikowane.

A przecież istnieje piękna myśl łacińska: *Lex neminem cogit ad impossibilia* — prawo nie zmusza nikogo do rzeczy niemożliwych!

Hubert Jesipowicz

MAŁE uliczki są jak małe miasteczka. Jedna ulica może czasem wystarczyć na całe miasto. Oczywiście inaczej żyje się wśród domków i szpalery klonów przy Kochanowskiego, inaczej w dętych podziach na Sławniku i zupełnie inaczej na Kośminku między oficynami, przybudówkami i podwórkami, spośród których wyrzysza się kostropata kamienica. Taka jest ulica Wspólna, która wykiada swoje walory na trotuar i nomen omen — jest wspólna.

Pan Mączka zakłada ręce za szelki, wychodzi na balkon, patrzy i wie wszystko. To samo pani Wawro, która wygląda zza firanki. Panna Maniuta, świętej pamięci, też wszystko dojrzała krzywym oczkiem, choć, idąc, musiała pilnować za dużych pantofli po siostrze. Dziadek Wiejak niby nie nigdy nie wie, a swoje wie. Tak samo pani Karolowa. Ale kiedy Julia, konkubina nieboszczyka Pluty, krzykiem walczyła o swoją opinię lub tylko wyjaśniała sąsiedzkie nieporozumienia, wszyscy przestawali nagle widzieć i wiedzieć.

Zwłaszcza obcemu nie mieli nic do powiedzenia o Julii, dla której ulica Wspólna była sceną przyciągającą uwagę znacznych żon i ich mężów, staruszek wygrażających pięścią okręconą różańcem i dam prychających spod niedzielnych kapeluszy.

A Julia — szalała. Pięknie sklepiona blond furia, mimo pięćdziesięciu lat, wciąż budziła tyle emocji, że mówiono o niej jak o kulisach wielkiej polityki — szeptem. W przeciwnym razie Julia była gotowa rozdrzeć pazurami niebo, żeby sam Bóg zobaczył jej krzywdę. Rwała na pierśiach bluzkę i strugi pomyj wylewała na łąki sąsiadów, jeśli tak można określić jej niekontrolowany sposób wysławiania się.

— Julia i Julia, Julia i Julia — westchnął pan Mączka. — Raz patrz: stoi w gabinecie u fotografa. Taka postać naprawdę warta, żeby w gablocie stała! Szal, coś tego, białe rękawiczki... Jakby była mądra, na artystkę by poszła, bo miała w sobie takie coś, że mówi, a człowiek jej wierzy!

Sądy przeważnie Julii nie wierzyły. Za awanturę przy podwidywaniu pomidorów, która skończyła się okładaniem sąsiadki palikiem, dostała sporą grzywnę; podobnie za wszystkie kolejne pyśkówki, które przegrywała. Mimo to nie oszczędzała języka na sąsiadach i była pania, choć cała ulica wiedziała, że tylko kochanką Pluty.

— Milionerką bym mogła być — przedrzeźniała Julię pani Mączkówna. Mimo że grymas pani Mączkówny jednoznacznie sprawował Julię do poziomu wycieraczki obciążonej starą halką, pan Mączka uniósł brwi i przebiegając palcami pokazał, że chętnie by w tej sprawie wyszedł jeszcze pogadać.

W „Ekspresowym” parowało radością życia. Zza lady wschodził jak jutrzenka swobody biust barmanki, i zachodził, gdy sięgała do stojących na podłodze transporterów z piwem.

— Oj, panie Wiejak, bo zabiorę — strofowała co chwila dziadka, który pociągał wódkę z oranżadówki zapinanej na porcelanowy kapsel.

— Po co księżniczce nafta? — dziwił się dziadek i chował oranżadówkę do kieszeni.

— Przez jaką przeźroczystą perspektywę patrzysz? — szeptał do siebie zarośnięty mężczyzna. — Przez rajstopy — odpowiadał. — Czy ktoś jest przeciw? — pytał. Gestem znawcy zatoczył ręką półkole i walnął w blat stolika. — A tu trzeba namiętnie... — zwierzył się i po chwili dorzucił ze złością: — Kultury im się zachciewał!

Pan Mączka zdawał się oddychać tylko, gdy mówił. Historia Julii wzdymała jego statecznym życiem jak spożyta w nadmiarze kapusta ze wszystkimi konsekwencjami. Opowiadał z jak największą przyjemnością.

Julia przyjechała do Lublina z Żydami ze Wschodu, którzy uchowali się w ziemlance i obiecali uszyć jej kostium za pierwszy prawdziwy rosół, jaki im przyniosła. Jeszcze tego samego dnia została sprzedawczynią w sklepie Pluty, gdzie spodobala się od pierwszej chwili. Potem był ostatni niemiecki nalot na Lublin. Odlamek bomby urwał Maryl, żonę Pluty, pięć i ranil ją w biodro, więc Julia poszła pomagać do domu pracodawcy. Zastępowała Marylę we wszystkim, bez jej protestów. Co dziwniejsze, Maryla z radością zajmowała się później dziećmi Julii i swojego męża, nawet bardziej je faworyzując niż własną córkę.

— Maryla, ona była porządna — mówił pan Mączka. — Nikt nie widział, żeby kogoś miała. Julii Pan Bóg dał ładny naskórek, a o duszy zapomnieli. Ona Plutę zamęczyła. A kochała się w nim do zabójstwa. Jaki z niego cham, nawet mnie nie pocałuje, skarżyła się i potem odwdzięczyła mu się za wszystko. Dla niej mężczyzna taki małutki, taki do kłęknięcia przed nią. Po co ci jeszcze ten z Żelaznej? — pytał Julę. Ona się śmieje: co robić, jak życie się kocha? I taki piorun do niej przyjeżdżał milicyjnym wozem. Raz patrz, Dyzio rękawiczkę jej odchyła. Co cię ślini ten szpagat? Nie wiesz? Chce, żeby przysłała do niego. Och, ona dała Plucie, jak ręce i nogi mu odjęła! Przychodzę — chłop płacze. Kijem od szczotki go bila za to, że pościel, nieszcześliwiec, przepalał. Ja cię, Julia, przypilnuję wieczór, mówię, bo mnie serce ruszyło. To patrzy mi w oczy i śmieje się. Kobita swoją broń ma. Niech zostanie między nami, mówi, niech się chamy nie cieszą.

Bar przycichł wraz z dopijaniem ostatnich butelek piwa.

— Jedno, co miała — powiedział na pożegnanie pan Mączka — to serce do Maryl. Nie robiła jej takiej krzywdy, jak by można było się spodziewać.

To samo dostrzegły nawet najbardziej zawzięte sąsiadki. Julia zacierała śniegiem ręce i pręta, a Maryla od obłoków, modlitw i wierszy.

— Maryla nigdy nie umiała nic zrobić —

stwierdziła pani Wawro z wysokości swojej wersalki, z roju poduszek i serwetek, którym przypatrywał się gipsowy kot z pozłacaną sierścią. — Ale ładna była kobita, Maryla...

— I pobożna — dorzuciła sąsiadka.

— Pobożna to później. Ja pamiętam, jak od niej Zydzi oknem wychodzili przed wojną.

— Boga się pani nie boi!

— Mówię pani, furknął chałatem i go nie było.

— Niech będzie — zgodziła się sąsiadka. — A Julia dzisiaj jeszcze rozwieka cycki dla pana Mączki. — I obie panie roześmiały się jak zarzewia furtki.

Mieszkancko pani Wawro — pełne portier, lambrakinów i wysokich połysków, mizdrzu i zapachu pudru, z toaletką oplecioną sztucznymi kwiatami —

statecznie. Wtedy wzięłam ślub z obecnym mężem — Julia machnięciem ręki skwitowała nowe życie. — W lipcu Pluta o tym się dowiedział i runął bez czucia. Wróciłam do niego. Osiem miesięcy dożywałam pod moją opieką. Pościel przepalał, jedzeniem pryskał, bo papkowate mu gotowałam i umarł przy mnie, a taki był niedobry. Ustawiłam dzieci przy trumnie od najmłodszego i kałam zrobić fotografię.

Od czasów, kiedy Maryla była piękna, a Julia panną, wiele zmieniło się na Kośminku, choć, zdaniem pana Mączki, co kto miał w głowie, to mu zostało na zawsze. Pan Karol zawsze sprzedawał buty, żeby mieć na wódkę, pani Karolowa była zaraza i będzie, a Julia — szkoda mówić...

— Tyle, że Pluta nie żyje — sapnął. — Maryla

Nieśmiertelny Kośminek

Anna Bocian

było rajem w porównaniu z przepołowioną rynsztokiem bramą, przez którą wchodziło się do Julii. Za to kuchnia Julii była czysta jak na Wielkanoc. Pranie i czyszczenie było dla niej żywiołem. Potrafiła szorować nawet plot, a powodem większości awantur z sąsiadkami był wiecznie zajęty przez Julię strych.

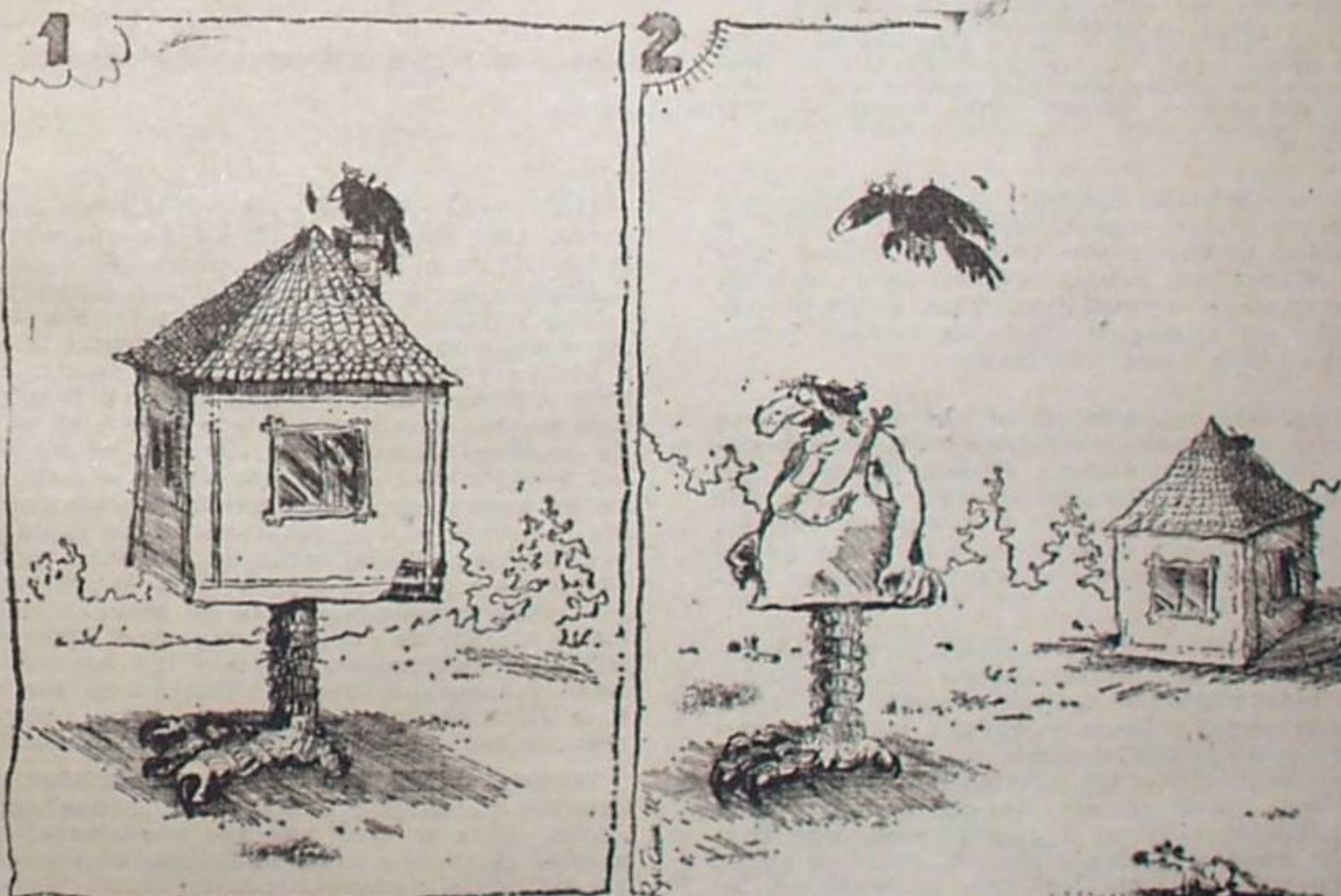
— W bardzo nieuczciwy dom popadłam — westchnęła Julia. — Wyjdź za mąż, wyjdź, mówiła mi ciągle Maryla. To wyszłam. Ale nie mogłam się do tego chłopca przyzwyczaić. Więc wróciłam do Plutów. Pluta, jak się ubrał, to był bardzo inteligentny. Człowiek interesu. I lubił się zabawić... A ja co? Młoda, zdrowa, co się dosunęła, to dziecko. Pięcioro aż. Jemu nie przeszkadzało. Kiedy chciał, jechał na Frascati, na całą noc, albo i dłużej. Pieniądże chowałam przed nim w karnisze. Raz po powrocie z Frascati zrobił awanturę z milicją, że go służąca okradła. Ale na posterunku spytali: A ile dzieci ma obywatel ze służącą?

Życie Julii było barwne. Raz ścigała Plutę, któ-

w przytulku, rodzona córka ją wsadziła... I podobnie chodzą do niej dzieci Julii? — zdziwił się. — To mnie zaskakuje, choć nie mnie w życiu nie dziwi, bo jak na przykład Nieścioruk Kazimierz został dyrektorem, nie się nie dziwiłem, kiedy powiedział: Defraudację miałem. A sekretarkę miałem? — spytałem i już wszystko wiedziałem.

— U nas na Kośminku świat zabity deskami — powiedziała pani Wawro. — Nikt lepszego życia nie widział. Ale ja nie krzychałam, żeby mnie było słyhać pod tunelem, jak Julia. Zawsze okna zamknęłam. Niestety — zrobiła zbolą minę — chama i w dziesiątym pokoleniu nie wytrzęsie. — Chociaż — wyznała na pożegnanie — dużo lepszego życia od niej miałam. Aż czasem żałuję, że nieboszczyka męża nie zdradziłam — zachichotała pikantnie. — Najstarsza córka Julii, Uliśia, pracuje w kosmetycznym — poradziła.

Uliśia istotnie pracowała w kosmetycznym i zawdzięczała Maryl sentymentalne wyczulenie na piękno oraz dobro, mimo niezaprzeczalnej podłości ludzkiej.



ry uciekł przepijać pieniądze na Frascati, raz zastawała w domu rzeźbione kieliszki, nowy garnitur; Pluta siedział wtedy okrzakiem na rynnie i obdarowywał dzieci cukierkami.

— Nauczyłam się tak: po pierwsze, jeżeli chce się mieć porządek w życiu, nie trzeba kochać. Lepiej być kochaną. Po drugie, chłop jest dobry wtedy, jeżeli uszanuje w kobiecie najgorsze. Po trzecie, nawet najbardziej kochający zdradzi. Po czwarte, idealny mężczyzna da tobie wszystko, a sobie mało. Ale takich nie ma. A po piąte, to kobietą do czterdziestki rządzi tylek! — I spojrzawszy wymownie na swoje portrety pędzla trzeciego męża, jeżeli uzna się Plutę za drugiego. Na większości obrazów przeżyły się nagie kobiety, lecz tylko ubrane miały twarz Julii.

— Byłam kochana, jak nikogo nie było — ciągnęła. — Ja, głupia, zawsze wołałam drania od mądrzejszego. To wygonił mnie kiedyś Pluta o-

— Maryla modliła się za nas, żeby nam się krzywdy nie stała. Ja nigdy nie usiadłam do wigilii, jak nie było Maryl. Układała mi wiersze i pisała wypracowania. Nauczyła mnie dobroci... Jak ktoś chce upodlić naszą rodzinę, mówi o głupiej Maryl. Ludzie są za tępi, żeby to zrozumieć. Stałam kiedyś za ladą, widzę, że przyszła taka jedna w ciążę i szep, szep mojej koleżance. Mnie też jak groch. Co innego mogła mówić? Za dwa miesiące urodziła martwe dziecko. Jest boska sprawiedliwość!

Z oddalenia Kośminek wydawał się tylko stara dzielnica, którą wkrótce pochłonią nadciągające z północy i południa nowe osiedla. Z bliska okazywał się nieśmiertelny.

kamena

BYLBY to znak wielkiego nieoświecenia, jeśli ktoś (ale wątpię, by się taki znalazł) nie słyszał o mieście Łatowicz, które leży na południowo-wschodnim krańcu Ziemi Mazowieckiej. Leży zaś owo miasto (starsze niż sztuka liczenia lat w naszym kraju) nad rzeką Świdrą — najpokrętniejszą ze wszystkich mazowieckich rzek. Rzeka opłatywała ongiś miasto podwójnym marynarskim węzłem. Prócz niej odgraczyła Łatowicz od reszty świata dwa duże stawy i zdradliwe oparzeliska. Toteż i do samego miasta, i do zamku królowej Włoszki nie można było przedostać się inaczej niż tylko przez dwa mosty. Były to mosty bardzo misternego budowania, albowiem ciosali je i kładli majstrowie z Mińska, które to miasto (każdy wie, a jeśli nie wie, niech się dowie) słynęło ze sztuki budowania mostów i to nie tylko w naszym kraju, lecz w moskiewskim, chińskim, hiperborejskim i wielu innych jeszcze!

Zamek królowej Włoszki stał na resztkach prastarego grodziska. Może z czasów króla, którego myszy zjadły? Może z jeszcze wcześniejszych? Nie wiadomo, bo jak miałem honor powiedzieć, w czasach dawniejszych niż dawne, ludzie nie mieli w zwyczaju rachować lata. Nie był to zamek wielki, nie umywał się, rzecz jasna, do zamku królewskiego w Krakowie, wielkoksiążęcego w Wilnie czy książęcego w Bari we Włoszech. Był to niezbyt ciekawie okazały zameczek, kanikułski i myśliwski, po większej części drewniany. Królowa jejmość zażywała w nim słodczy wywczasów po trudach panowania, polityki, wianowania i rozwiązywania mariaży króla syna, zalewania sadła za skórę Habsburgom oraz uczenia braci szlachty jedzenia włoszczyzny. Królowa jejmość wyznawała doniosłą regułę siedmiu medrców starożytności: „Jak praca, to praca, jak odpoczynek, to odpoczynek”. Niezawodnie z tego powodu upodobała sobie nasz Łatowicz. Niełatwo było przecie przedostać się doń przez dookolne wody a mokradła tyleż natarczywym suplikantom, zabiegającym o salomonowe wyroki, co i pochlebcom a także magistrom kunsztów maciwodzkich, od których roi się w każdym wieku przy każdym tronie czy fotelu. I upodobała sobie te strony królowa również z tej przyczyny, iż była nie mniejszą miłośniczką łowów niż bogini rzymska Diana a jak raz w naszych kniejach nie tylko nałaził znaczny komunik demonów, lecz i spowinowacony z nimi gruby i najgrubszy zwierz. O tym, jak niemale były te knieje i na jak wielkiej ciagnęły się przestrzeni, niech świadcza choćby nazwy okolicznych wsi i przysiółków, takie jak: Trembibór, Debe, Wielgolas, Darzbór. A o tym, ile tu demonów mieszkalo, powiedzą znowu nazwy wsi: Strachomir, Diabla Góra, Wiedźmia Góra, Lysogór, Weżyczyn i inne.

Królowa Włoszka, jak wiece od błazna Stańczyka, szczególnie była zawzięta na niedźwiedzie. Musiała je niezawodnie wszystkie powystrelić, bo przecie dlań nie ma u nas żadnego. Drugim osobliwie miłym zajęciem królowej w porach kanikuły było wspólne śpiewanie z damami dworu, też Włoszkami, tkliwych kancon milosnych przy gędbie lutni. Wiadomym jest powszechnie, że Włoszki głosy mają słowiczej doskonałości, słuch niezwykajnie tkliwy, a przy tym umiejętność cudnego modulacyjnego śpiewania, zwanego „beleano”. Królowa Włoszka i jej towarzyski nie tylko nie ustępowały w wokalnym geniuszu innym damom z apenińskich krajów, ale chyba nie będzie nazbyt dużą hiperbolą, jeśli powiem, że bodaj i aniołowie nie śpiewają wdziczej niżli w ów czas królowa ze swym fraucymmerem. Niedoskonałości zaś czyjegós słuchu zadawały ich uszom równe tortury, co głośniejsze księżniczce ziarnko grochu, wtknięte pod dziesiąty siennik. Dodać wypada, że nadzwyczaj delikatne miały — królowa i damy dworu — powonienie.

Królowa Włoszka, jak było powiedziane, mocno admiirowała nasze miasto, wyrażała się o nim w Krakowie, w Wilnie i w listach do książąt włoskich *semper cum eximia perpetua laude*, a także rozpieszczala je przywilejami. Tyle, że do pewnego czasu, niestety, stała się bowiem jednego roku i dnia rzecz przerażająca.

Nie na moją uczoność rozeznanie, czy rzecz owa stała się za sprawą sekretnych ludzi Jego Majestatu Cesarza Rzymskiego Narodu Niemieckiego, czy demonów z Diabla Góry czy z jakiej jeszcze innej przyczyny. Ale chyba nie myślą czytelnicy, bym miał obarczać winą za to, co się stało, mieszkańców naszego Łatowicza? Takim Herodem jeszcze nie jestem!

Tamtej srodze upalnej kanikuły, kiedy nad borami i zamkiem zagorzał złoisty Syriusz, zwany przez ludzi, którym w czymś zawinił, Psia Gwiazda, niewiadoma potwora — bodaj z plekta nie wyłaziła! — wymościła grzaskie brzegi obu stawów, które *circum-circa*, jak rzekłem, wraz z rzeką i moczarem zamek okalały, nie chrustem i precina, jak nakazuje rządność i gospodarność, jeno (wybacząc prostactkie słowo) gnojem. Przez co smród a cuch zrodził się tak haniebny że równe mu jedynie diabli w swym Tartarze fabrykują dla zadawania nosom grzeszników wiekwcześnie gwałtu. Cuch natarł na bezbronne nozdrza dam z furia bisurmańska. Co gorsza wnet okazało się, iż furor diaboli nie ograniczył się do szturmowania na nosy. Choćab i bowiem od owych diabolicznych cyrkumstancji podychały wszystkie ryby w stawach i prawie wszystkie w rzecze, to żaby... całkiem na opak — rozmnożyły się niczym króle holenderskie i rychło na lilie wodne, na rzese i gnojne brzegi wyległy całe ich hordy. Nie, hordy to za małe słowo! Trzeba by powiedzieć: wyległo ich tyle, co gwiazd na niebie, czyli liczba astronomiczna. Wprawdzie jeśliś niematematyk czy w gwiazdorstwie bległy astrolog, nie taka znowu dla ciebie dystrakcja, czy gwiazd goręje tuzin, czy liczba astronomiczna. Ale bo gwiazdy nie koncertują. Żaby natomiast, choć odpowiedniego głosu, to i za złamanego szeląga słuchu nie mają z miejsca zaczęły dawać pod królowej Włoszki zamkiem koncerta, festiwalu nie ustające, maratony zespołowe i w dzień i w noc, i w noc, i w dzień... Próżno czułym powonieniem

i jeszcze czulszym słuchem obdarzone damy włoskie z królową na czele zatykały sobie nozdrza i uszy.

Królową jejmość i jej damy tak wielka kolera nażaby i zbrodnicego sprawcę targnęła, że zle limfy i humory w piersiach ich wezbrały do obfitości prawie groźnej dla zdrowia. Królowa paliła we wszystkich komnatach trocizki i snuła się z kąta w kąt, karmioną ze złości jak linder. Nabrala nawet szkaradnego mniemania, że wychodzenie brzegów stawu tak szpetną i nieścisną materią dokonane zostało z niedopatrzeń czy nieuprzejmści burmistrza i w ślepej irytacji kazala go rozłożyć w pozie nieczciwej posrodku rynku i wlepieć temuż nieszczęślikowi na gola... te tego... pląs basarunskich siedemdziesiąt dwie. Nie po sprawiedliwości jak mniemam. Zabom i demonom konfuzja i bolączka ojca grodu ani zaszkodziła, ani im przysporzyła watydu.

BONA I ŻABY

Tadeusz Chróścielewski

Cuch nadal się rozchodził *ex flumenes* bez przeszkód, żaby rosły, grubiały, już nie rokendrolowały dyszkantem, lecz wyły basem. Któregoś dnia najpiękniejsza z dwórek królowej jejmości (czytelnicy widzieli ją niewątpliwie w tv: Korsakówna jej miano) upuściła na dyle pawimentu tamborek z haftem i nie kończąc kancony o tragicznej miłości Alfonsa d'Este i cudnej Lukrecji Borgia osunęła się bez czucia w ramiona ochmistrzyni. Wtedy królowa Włoszka zadecydowała, że nie ma co już dłużej czekać, lecz trzeba, mimo wszystko, uciec się do czarów, czego monarchini, wbrew temu, jakie tam bajki o niej rozprowadzali po kraju panowie niechętni, ludzie habsburscy, a także późniejsi literaci — serdecznie nie cierpią. W ostatecznych już tylko terminach sięgała do magii i tylko do białej, a nigdy do czarnej, przez wiarę naszą chrześcijańską wykletej i szkodliwej dla zdrowia ludzkiego i zbawienia duszy. Tym samym nie wolno nam JKM obwiniać o zadanie magii śmiertelnej choroby królewskiej małżonce młodego władcy.

Włożyła wtedy królowa matka czapkę gwiazdziarską na gładkie blond włosy, upięte misterną siatką, ujęła w dłoni laseczkę prestidigitatorską i zaczęła skrzecząc bestie traktować najmocniejszymi zaklęciami pomienionej białej magii. Wymawiała, czarując tak groźne i przeraźliwe słowa, jak *presto*, basta i si, si, których to przekleństw nauczyła się od pewnej dzisiejszej polskiej pisarki. Miatając je, tupiała królowa Włoszka z wielką mocą w pawiment, czego, jak wiadomo, ranie, *daemones et mariti* najstrożej się obawiają. Uczyniła to trzy razy, za każdym o pół oktawy głośniejsze. I co? I nic. Śmierdziuchy, nie a nie sobie z zaklęć nie robiąc, nadal rozdzierały zmasowanym rockowaniem do krwi uszy Jej Królewskiej Mości i fraucymeru. Wtedy królowa Włoszka w ostatniej mizerii się znalazła, zwróciła się o udzielenie braterskiej bezinteresownej pomocy do świętego Wawrzyńca na Kracie Pieczonem. Trzeba bo wiedzieć, że w owych czasach bawili w naszym mieście — rzeczony święty Wawrzyniec oraz święty Walenty. Stali obozem na ołtarzach w kościółkach pod ich wezwaniem i po całodzienniej pracy duszpasterkiej na miejsu udawali się noca do ludów nuszczających za Pompką w Mińsku, za Mrozami, w głębie Podlasia, do Białej Wieży, Brześcia, Wiżajna, Wolkowyc i innych okolic, aby wsuflując się w

śny śpiących umacniać ich w wierze i wypietrzać w ich duszach fortalicje przeciw szturmom złych i nieskromnych pokus. Nie wiem, jak święty Wawrzyniec, wiem za to, że święty Wawrzyniec na Kracie Pieczony pracowity był nad wszelki podziw. Nie tylko, w dzień w ołtarzu stojąc, wszystkie prośby modlitewne od drogich mi łatowiczian przyjmował i opatrując je żarliwym ponarciem w te pedy kierował do niebieskich dykasterii i nie tylko apostołował do snów ludzkich na ziemiach Księstwa Litewskiego, to jeszcze czynił usługi dla ludności i wyręczał świętego Floriana w ratowaniu domostw naszego miasta przed Czerwonym Kurem. Inaczej święty Florian, choć przedni strażak, nie daby sobie rady z oblewaniem tegoż kura, kiedy spada i halasi na strzechach, woda ze strażackiego wiaderka. Jeśli kto z młodych nie pamięta dziś, co to Czerwony Kur, niech wie, że z diabelskiej pochodzi on płaszarni i jest ptakiem tak drapieżnie żarłocznym oraz nauczonym szarpać dziobem i pazurami strzechy słomiane do imętu, iż bez obu pomienionych świętych pomocy miasto nadświdrzańskie by się nie ostało.

Święty Wawrzyniec praktykował sposób wojowania z ptaszyskiem dużo mniej delikatny niż Florian. Tamten spędał go ze strzech, jak rzekłem, chłustem zimnej wody, nieczym kundla od sukli, święty Wawrzyniec zaś, chociaż święty, przez to człek litosiwy, zarzynął takie Kury Czerwone bez miłosierdzia jak najbardziej wprawiony rzeźnik. Wystarczało tylko list do świętego rzec, nie wydziałać na tragaczu rylcem lub siekierką z takim właśnie wezwaniem: „Święty Wawrzyniec na Kracie Pieczony, zachowaj dom ten, by nie był spalony” — i żaden kur domu odtąd nie zdziabie po wielki wieków, amen.

Wróćmy już do tamtej kanikuły, tak nieszczęśliwej dla królowej Włoszki, jej dworu i orzeczeń... nie tylko. Królowa jejmość, wywiedziawszy się od rajców naszego miasta o uczynności świętego Wawrzyńca, choć monarchini, a zaś święty nie był nadto wysokiej kondycji, także wystosowała do niego odręczny list. Tyle że jej list był dłuższy i wdzięcznie rymowany gwoili gładszego czytania (królowa miała bowiem wyborne rymotwórcze talenty i gdyby czas jej pozwalał to kto wie, czy nie zapędziłaby w kozi róg samego nawet wieszczą Mikolaja Reja z Nagłowic?). List ten miałem możliwość kiedyś widzieć i przepisać sobie. Nie pamiętam tylko, gdzie go widziałem. Czy na zamku w Bari, czy może w Pizie w wieży? A może w mojej książce? Stoi w nim między innymi:

Mości Święty Wawrzyniec na Kracie Pieczony,
Przyjm Wasze reverentiam od królowej Bony,
Iż armata Twych cudów wielki ma kaliber,
Spraw, niech cuchy ustana i żabi harmider
Po wielki wieków...

I w samej rzeczy święty Wawrzyniec, jakkolwiek sprawianie świeżego powietrza, a także odbieranie głosu żabom nie jego to *professio*, ale przystoi raczej wojcieszkom, alias bocianom, pojmując niedolę królowej i jej dziewięć, pospieszył co rychlej ze swoją cudotwórczą pomocą. W biały dzień zstąpił personaliter z ołtarza, przedmuchał dmuchawą powietrze, uwalniając je od oarkotów, a także za jednym zamachem odebrał głos wszystkim tutejszym żabom: wodnym, błotnym, lakowym, drzewnym, nawet ropuchom. I to *ad saecula saeculorum*, stosownie do prośby majestatu.

I zważcie: królowa Bona umarła (o czym nagła a niespodziewana wieść zaskoczyła mnie już bardzo dawno temu podczas lekcji historii w naszej szkole), zamek jej nadświdrzański, podobnie jak zamek w Liwie czy Chęcinach i jak wreszcie wielkie sumy neapolitańskie, został rozgrabiony i przepadł do szcetu. Przy tym okazało się, nad czym mocno boleję, iż chwaleni dotąd przeze mnie mieszczanie łatowiczanie nie okazali się aż tak bardzo dobrzy, za jakich ich miałem, i owej opuszczonej budowli królewskiej dopomogli walcie w dziele samorozebrania się. Świętego Wawrzyńca też już dawno temu odwołał od nas święty Piotr w związku z przeniesieniem na inne odpowiedzialne stanowisko. Kościółek pod jego wezwaniem też się zapodział w czasie. Zostało z dawnych lat jeszcze tylko kilka domostw, które święty ten w przychylnym ustosunkowaniu się do nakreślonego rylcem na tragaczach pod stropami asekurował przez wieki od napaści Czerwonego Kura. Ale ich dzisiejsi possesorzy — na odwrot... właśnie chętnie by Czerwonego Kura wzywali, żeby uwolnił ich od owych budynków pamiętających kawał historii kraju i historii ich rodzin, robiąc tym sposobem miejsce pod „aliganckie” nudelkowce o płaskich „zadaszeniach”, loggiach, z garażami na polonezy i pincerkami na kowarskich dywanach. Ponieważ Kur się jednak, posłuszny Wawrzyńcowemu zaklęciu, nie kwapi, zabiegają czapką i papką a konserwatora wojewódzkiego, by skłonić go do wykreślenia tych chat z wykazu zabytków, albo też sami cichcem rozbierają bez zezwolenia... I tak oto, widzicie, zmienia się rok po roku wraz postać świata i zmienia kształt naszego prastarego królewskiego miasta Łatowicza, a przecie to jedno pozostaje niezmiennie: żaby pomienionego miasta i jego, jak się dziś po polsku mówi, „akwenów” stały się nieme od owej fatalnej kanikuły, tak i dzisiaj nieme są. Taki właśnie mocny cud uczynił na królowej Włoszki prośbę święty Wawrzyniec na Kracie Pieczony... Jednakowoż uczynił on cud trochę nawet większy niż trzeba było. Bo słuchajcie i zważcie u siebie, że w naszym mieście nie tylko żaby są od owego dnia nieme. Są nieme i fabryki (bo ich w ogóle nie ma), nieme zakłady... infrastruktury, milcza inicjatywne oddolne i ogdorne i milcza — Wielkie Tajne Moce Miastotwórcze.

I nie wiemy, czy żywić za wynalazek uciszenia żab naszych wdzięczność dla królowej Włoszki, czy przeciwnie, za owa tak długa tak dołmulaca cięsze wnieść przeciwko niej pozew przed trybunał... Tyle, że nie mam pojęcia przed który.

Przerażająca zwyczajność zabijania

Lidia Wójcik

ANDRZEJ Luczeńczyk jest pisarzem „odkrytym” ostatnimi czasy dla szerszego odbiorcy przez Henryka Berezę. Opinia znakomitego krytyka nie jest, bynajmniej, podzielana powszechnie. Zresztą sam Berezę wyrzekał z tego właśnie powodu nie tak dawno, w artykule „Baranoja” („Polityka” 1985, nr 42). Trudno byłoby bezkrytycznie poddawać się gloryfikującym sądom Berezę, choć niełatwo także je definitywnie odrzucić.

Luczeńczyk jest niewątpliwie pisarzem idącym własnymi, nieprostymi drogami ku odkrywaniu tajemnic życia i śmierci, ku zgłębianiu i poznawaniu możliwości ludzkiej natury. Te tematy drażni dzięki przyjętej specyficznej formie narracji, niepowołanym sposobom budowania świata przedstawionego, konstrukcji postaci.

Ostatnia książka pisarza „Kiedy otwierają się drzwi” — różna i daleka już przecież od pierwszych opowiadań, tkwiących w realistycznej opisowości — składa się z kilku opowiadań, pozornie luźnych, lecz połączonych wspólną myślą. Kiedy czyta się tę książkę, pierwsza myśl, jaka wówczas przychodzi, musi być chyba taka: prawo moralne, wypisane niegdyś na tablicach kamiennych, już nie istnieje. Rozdrżany świat o którym opowiada Luczeńczyk, pogrążony w kryzysie wiary, nadziei i miłości, rodzi poczucie zagrożenia i lęku. Luczeńczyk orobuje wnikać w bolesną tkankę świata i pokazywać jego wewnętrzne mechanizmy, próbuje poszukiwać przyczyn pogubienia wewnętrznego człowieka i fródel jego najciemniejszych czynów. O tym wszystkim pisarz mówi za sprawą specyficznej narracji. Narrator w tych o-

powiadaniach jest obserwatorem, opowiadaczem i rejestratorem wszystkowiedzącym, opowiadającym najczęściej w formie czasu przeszłego.

Świat o którym mówi, albo lepiej może byłoby powiedzieć — zdaje relację narrator, sprawia wrażenie, jakby składał się przede wszystkim z rzeczy. Charakterystyczne dla tej odmiany prozy Luczeńczyka pozostaje właśnie owo upodobanie w opisywaniu rzeczy, w zapisie szczegółu, drobiazgu. Zwyczajne, codzienne przedmioty (zegarek, kartka papieru, papierosy, kieliszek) poddawane bywają dokładnemu oglądowi, który służy chyba badaniu, czy może ponownemu sprawdzaniu funkcji, roli tych przedmiotów i ich związków z człowiekiem, a jednocześnie jest to jakiś sposób weryfikowania semantyki przypisanej słowom określającym te przedmioty.

Podobnemu dokładnemu zapisowi podlegają wszelkie najdrobniejsze ludzkie działania. Jest to szczegółowy zapis czynności i zachowań: zapalanie papierosa, nalewanie do szklanki, jazda samochodem, siadanie w fotelu, otwieranie drzwi. I ten właśnie skrupulatny zapis szczegółów, owa drobiazgowość pozwala odkrywać najgłębsze pokłady i możliwości ludzkiej natury. Z takiego zapisu szczegółów, ujawniającego niemal jakąś technologię drobnych zdarzeń, wyrasta dopiero cała metoda, czy może właśnie technologia ludzkich czynów: zabijania, upokarzania, upodobania dla zła.

Działania ludzkie są w niektórych opowiadaniach Luczeńczyka jakby odczłowieczone, pozbawione cech i wartości ludzkich. Czasem pisarz przydaje ludzkiemu działaniu wymiary demoniczne, jak w opowiadaniu „Nocny

tramwaj”, albo znowu cechy mechanizmów („Blyski”. „Tak zupełnie zwyczajnie”). Służy temu przede wszystkim sposób narracji, często pojawiające się zdania w formie równoważników, wskazujące od razu na anonimowość i bezosobowość. Opowiadanie „Blyski” właściwie całe składa się tylko z równoważników zdaniowych i stąd wrażenie, że działa nie człowiek, lecz jakiś nakręcony mechanizm.

Zresztą, w ogóle człowiek, jakiego pokazuje ta książka Luczeńczyka, bywa najczęściej anonimowy. Postaciom brak tu zawsze nazwisk, imion, najczęściej autor określa je: kobieta, mężczyzna, stary młody, taksówkarz, lekarz, albo po prostu jakiś anonimowy on, jak w opowiadaniu „Nocny tramwaj”. Nie posiadają także te postaci, jak to zwykle w literaturze, swoich biografii, niewiele, albo czasem zupełnie nie wiemy o ich przeszłości. Bohater tych opowiadań to właściwie uniwersalny. Każdy poznajemy tylko działania i myśli tych postaci na przestrzeni kilku godzin, dni, czasem działania drobne, blade i myśli, zda się, mało istotne, choć zawsze tkwi tam, albo wyrasta z nich, głębszy sens, znaczenia uniwersalne.

Proza Andrzeja Luczeńczyka zawarta w ostatniej książce pisarza posiada bogaty zespół odniesień wobec współbywania ludzkich jednostek, hierarchii, wartości, logiki bytu. Pytania najważniejsze jednak skupiają się wokół problemu śmierci. Jesteśmy skazani na istnienie ku śmierci, powiada Ionesco w „Dzienniku w oknach” — „Jesteśmy już zdeterminowani, a będziemy prowadzeni do końca na smyczy jak psy”. Ale przyznaje także, że człowiek wówczas dopiero napraw-

de gubi się i wszelkie jego poczynania stają się absurdalne, kiedy zostaje odcięty od metafizycznych i transcendentnych korzeni. Bohaterowie opowieści Luczeńczyka osadzeni bywają właśnie w próżni, w rzeczywistości bezsensownej, pozbawionej trwałego systemu wartości i sfery uniwersalnych odniesień. Co śmierci, zabijaniu, o jakich opowiada pisarz, przydaje wymiary absurdalności.

Człowiek do śmierci powinien dorastać, tak jak dorasta do życia, dojrzewać poprzez miłość świata, drugiego człowieka poprzez cierpienie — to są kolejne stacje na egzystencjalnej „drodze ku śmierci”. Ale nie jest to pewnie możliwe w świecie, gdzie — jak pisał Wojacek — „śmierć stała się pospolitą rzeczą”. Ale Luczeńczyk w swoich poszukiwaniach zmierza jeszcze chętniej dalej. Śmierć jest pospolita i przypadkowa. I nie sam fakt śmierci, umierania pozostaje największą i najbardziej tragiczną tajemnicą ludzką, lecz właśnie przypadkowość śmierci, i jakaś przerażająca zwyczajność zabijania człowieka, i zwykła pospolitość umierania. Wokół tej tajemnicy, wciąż przecie niezrozumiałej i trudnej, skupiają się najważniejsze pytania pisarstwa Luczeńczyka.

Pisarz rozumie jednocześnie, że o tych problemach nie sposób opowiedzieć wprost. Stąd w swoich poszukiwaniach błąka się drogami okólnymi, ale to jest pewnie najistotniejsza właśnie wartość tej książki. Owa umiejętność opowiedzenia o śmierci, zabijaniu, umieraniu, o rzeczach ostatecznych człowieka, poprzez opowiadanie o czymś innym, zwyczajnym: ciemnych oknach mieszkania, otwartych drzwiach, rozmowach naczelnika więziennego z lekarzem. Zwyczajność — „jasne pokoje”, pozornie banalne rozmowy i chwile, „kiedy otwierają się drzwi”, potrafi wypełniać nowymi znaczeniami, najczęściej odmiennymi i dalekimi od utrwalonej semantyki słów.

◆ Andrzej Luczeńczyk: „Kiedy otwierają się drzwi”; Warszawa, „Iskry”, 1985.

Poezja słowacka w przekładzie Zygmunta Wójcika

Jan Buzássy

SIOSTRA NATURA MATKA OJCZYZNA

(fragment)

Czasem brak tylko porównania
aby się wyjaśniło.
To jest ta błyskawica, która łączy niebo z ziemią
ta tęcza,
która się trzyma ziemi, ale gdy pije
robi zakręt
jak niebiański skrót wokół załamania światła

Za każde wyjaśnienie płaci się
krwawym potem, i w miłości,
gdy żądza otwiera nozdrza;
a jednak, miłości, krzyż,
dzwon, na tych dzwonach
póki nie urwie się serce.

Miłość zawsze skrada się snem
i gdy ciało łamie chleb
jest tam pierwsza
i pierwsza zapuka.
Lecz gdy zapuka,
trzy dni nie dobiedziesz głosu, abys słyszał co
będzie dalej.

Miłość
to ciepłe gniazdo, które spadło z bajkowego
drzewa,
które w snach kładziesz sobie człowiecze
pod głowę.

na tę wilgoć z naszego jesiona
która latami aż tu się przywlokła
do środka Pragi
i tu wypiewkuje
o tym, jak ją raz sprzedalem letnim
podmuchom
i sam odszedłem nie wracając więcej

Na zmęczone nogi kobiet piszę tu wiersz
i miasto brzęczy ciągle przy mnie
tę samą właściwie melodię,
stałe tę samą
tym samym parkom i rozbaionym droidom.



Rys. Edward Inglot

gdy na moment wznieś się oczy —
bezpieczna w swej radości
i pewności powie: tu będę w domu,
bo tyle tu pracy.

Viliam Pokorný

AZYL

Tłumione uderzenia obcasów
wyliczają smoliste cicho,
co bezwładnie leży,
w ringu klatki schodowej.
Zwycięzca brodzi
z ciemności w ciemność,
z głuchoty w głuchotę.
Mgła zatyka mu nos,
a uliczne lampy
nie mogą powstrzymać łez.
W wymarłym mieście
patroluje bezdomny pies.
To bliżej to znów dalej
przesiewa się na wyiębniętych poduszkach
jak złe maskowana miłość
na swej nieobliczalnej drodze.
Czwórwymiarowa mara
ciągnącej się nocy czy zbyt wczesnego ranka...
na tej stronie proponuje ci skrzydła,
na odwróconej, przypomina ci odeisk.
Taka jest miłość z drugiego pokosu,
miłość — rozdarcie.

Noty o autorach

JAN BUZÁSSY urodził się 10 kwietnia 1935 roku w Kočovce. Debiutował w roku 1965. Do chwili obecnej wydał 10 zbiorów poezji. Pracuje w wydawnictwie Slovenský Spisovateľ.

JURAJ PADO uł. 20 marca 1922 r. w Cečechove. Debiutował w roku 1952. Wydał 11 zbiorów wierszy. Pisze także eseje i dramaty. Przełożył „Słuby panieńskie” A. Fredry. Pracuje w szkole średniej w Koszycach.

STEFAN STRAZAY uł. 10 listopada 1940 r. w Igramie. Debiutował w roku 1960. Wydał siedem zbiorów poezji. Pracuje w wydawnictwie Slovenský Spisovateľ.

VILIAM POKORNÝ uł. 8 maja 1932 r. Debiutował w roku 1970. Pracuje w dwutygodniku „Osvetová Praca” w Bratysławie.

Juraj Pado

ODA DO ZMĘCZONYCH NOG

Tu w miejskim parku jak przed laty
piszę dzisiaj ode
na zmęczone nogi kobiety
i na jej 20 i kilka lat
na szeregach ptaków
na gwiazd drozda

W NOWYM MIESZKANIU

Kobieta, która wchodzi
do swego, jest w bojaźni piękna
i już nie odpocznie.
Rozjaśni szybko lampę,
nim jej opadną ręce —
chociaż na krótko.
Nawet przyzwiole nie odpocznie,
tylko na klęczkach
a w długich interwałach,

Puławskie mosty lubie zawsze

Marta Denys



Brama mostowa i most, zbudowane w roku 1916 przez wojska austriackie.

W PUŁAWACH, w ciągu niespełna wieku, kilkakrotnie przerzucane były mosty nad Wisłą. Przetoczyły się po nich obie wojny światowe i czasy powojennej ich i miasta odbudowy. Wyglądy dawnych puławskich mostów zachowały dokumenty i stare fotografie...

Tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, w 1914 roku, zbudowano w Puławach wąski, drewniany most. Pierwszy puławski most na Wiśle! Nie powstał on długo, bo w rok później zniszczyli go ci, którzy go tu postawili — wojska carskie. Taka, wiadać, była strategiczna konieczność.

Drugi drewniany most na Wiśle w Puławach przerzucili w 1916 roku Austriacy. Była to już solidniejsza konstrukcja. Drewniane jarzma dźwigały stalowe belki i położoną na nich drewnianą dylinę.

Dodajmy tutaj, iż po odzyskaniu niepodległości dawne województwo lubelskie posiadało 166 mostów, z których tylko pięć stałych zachowało się prawie bez uszczerbku po wojennej zawierusze. Przetrwał także drewniany puławski „austriacki” służący miastu aż do 1934 roku. W czasie pierwszej wojny większość drewnianych mostów uległa zupełnej lub znacznej dewastacji. Łatać i budować trzeba je było na powrót w warunkach dotkliwego braku materiałów i zaplecza technicznego. W latach dwudziestych z konieczności więc przystąpiono do budowy tzw. mostów półstałych, według systemu inż. Rechiniewskiego. Opierały się one o przyczółki i filary z kamienia lub betonu, mając co prawda górną konstrukcję drewnianą, lecz z coraz częstszym zastosowaniem stalowych belek, co pozwalało na wprowadzenie dłuższych rozpiętości podporowych w nurtach rzeki — gdyby rzecz całą ująć bardziej fachowo. Budowa mostów o żelbetonowej i stalowej konstrukcji była jeszcze długo, do lat trzydziestych, za drogą, jak na przetrzebione wojną kiesy województwa.

W 1931 roku Puławy postanowiły wznieść nowy, tym razem już stalowy most, o 456-metrowej rozpiętości prześle. Większość konstrukcji wykonała Królewska Huta w Chorzowie, pozostałe zaś „Towarzystwo K. Rudzki i Spółka” w Mińsku Mazowieckim oraz „Zjednoczone Fabryki L. Zieleniewski i Fitzner - Gamber” w Krakowie. Projekt podpór i żelbetonowych kesonów opracował inż. Stefan Zagrodzki, a rysunki warsztatowe wykonał inż. Koziołek. Odpowiedzialność za całość tego przedsięwzięcia, zarówno w fazie projektowania, jak i wykonania, wziął na siebie z urzędu inż. Konrad Jankowski z Dyrekcji Robót Publicznych w Lublinie. Budowę mostu na warunkach kredytowych finansował Państwowy Fundusz Drogowy oraz Fundusz Pracy. Całość kosztowała 6,5 miliona ówczesnych złotych. Królewska Huta w Chorzowie zdążyła z montażem puławskiego mostu na dzień jego otwarcia — 20 października 1934 roku. Most nazwano

imieniem prezydenta Ignacego Mościckiego.

W tym miejscu mała dygresja — wspomnienie: napotkany przypadkowo pan Władysław Szewczyk, parafianin janowiecki, jak sam o sobie powiedział, był jednym z pierwszych świadków przeprowadzanej na tym „Prezydenckim” moście próby wytrzymałości. Wcześniej rano zdążył być furką od strony Janowca na targ do Puław. Patrzy, a tu na most wjeżdżają wojskowe ciężarówki, zastawiają całą jego długość i stoją tak cały dzień. Fachowcy i gapie — a wśród nich pan Władysław — z jednakową uwagą poczynali śledzić próbę: wytrzyma czy nie wytrzyma? Dał radę! A potem,

Puławy runęły z kamiennym łoskotem cztery korynckie kolumny w aignerowskim kościółku — „Panteonie”. Miasta i okolic bronił 9 pułk piechoty pod dowództwem ppłk. Zygmunta Bierowskiego. Most był niemy świadkiem wycofywania się polskich oddziałów. Od zachodu napierały na nie pancerne kolumny wroga. Z 10 na 11 września most został zniszczony, lecz trwał. Dwa dni później sforsował Wisłę pod Puławami XV korpus wojsk hitlerowskich, zajmując miasto.

Ale przyszedł lipiec 1944 roku. Niemcy, wycofując się, zniszczyli trzy przęsła mostu, które legły w nurtach rzeki. 26 lipca oddziały I Armii Wojska Polskiego podjęły się uchwycenia za-

dobywano z dna rzeki. Pełno tam było pocisków i niewypalów. Zdarzały się więc śmiertelne wypadki, o czym donosiła ówczesna prasa.

Dzień, kiedy oddawano uroczyste most do użytku, nie był pogodny, a mimo to ścignęły tysiące mieszkańców Puław i okolic. Z Lublina nawet przybyły trzy wycieczkowe autobusy marki „Leyland”, pełne gości. 29 czerwca 1949 roku ówczesny wiceminister komunikacji, Kazimierz Balicki, przeciął wstęgę, dając pierwsze przejście odbudowanemu puławskiemu mostem wojewodom — lubelskiemu i kieleckiemu, przedstawicielom dyrekcji Departamentu Dróg Kołowych, władzom politycznym i administracyjnym miasta i województwa, a potem — jakże liczny gościom. Most kosztował 260 mln złotych. Przez skrócenie czasu jego budowy oraz częściowe wykorzystanie istniejących konstrukcji udało się zaoszczędzić około 100 mln złotych. Ogromny był także społeczny czyn mieszkańców Puław — i nie tylko Puław — przy budowie. Jak również sprawne i energiczne, co podkreślała prasa, kierownictwo z inż. Bolesławem Liberadzkim na czele. Zasłużonym budowniczym mostu przypadły w nagrodę zegarki, radioaparaty, rowery, papierosnice i wieczne pióra, o czym skrupulatnie informował w swej relacji z otwarcia mostu reporter „Sztandaru Ludu” (sądząc po inicjałach, był nim Feliks Praszczałak — red.).

Stał więc mocno na swoich przyczółkach nowy, stalowy most puławski. Od trzydziestu kilku lat wąskim, acz krępkim ramieniem łączy oba wiślane brzegi, przenosząc ponad rzeką olbrzymią masę pojazdów i towarów, podążających trasą T-12. Na jeden „udźwig” ramię mostu może przyjąć 80 ton. Nie więcej. Takie jest jego dopuszczalne obciążenie. A ruch kołowy toczy się tu jednak coraz prędzej, i z coraz to większym ładunkiem. I choćby było najpilniej, czasu i mostu nie przeskończy. Dołem Wisła niesie barki i statki. Pasażerowie zadzierają głowy „o, jaki piękny i długi most”!

Jest jednym z 1541 mostów województwa lubelskiego (w dawnych jego granicach) i tarnobrzęskiego, które podlegają Dyrekcji Okręgowej Dróg Publicznych w Lublinie. Spośród nich „puławiak” wyróżnia się oryginalną, ażurową konstrukcją, coraz już mniej stosowaną przy budowie współczesnych mostów. W przyszłości odnotują to być może katalogi zabytków. Na razie puławski most służyć będzie swym ramieniem jeszcze długo, choć przydałby mu się młodszy „zmiennik”, którego budowa, prędzej, czy później, stanie się koniecznością dla miasta i regionu.

W artykule autorka korzystała z pracy inż. Leona Sułoty z zakresu „Historii drogownictwa Lubelszczyzny do 1943 roku”, pisanej na zlecenie Ministerstwa Komunikacji i biorącej udział w konkursie NOT-u. Zdjęcia — z kolekcji fotograficznej Mikolaja Spóza z Puław.



Most im. Prezydenta Ignacego Mościckiego z 1934 roku.

Repr. Mikolaj Spóz

kiedy most otwarto, do dobrego „tonu” należały niedzielne po nim spacerki. Umawiano się z sympatiami i po uiszczeniu dwóch czy pięciu groszy można już było promienować suchą nogą na drugi brzeg Wisły. Pan Władysław, stając na tym nowym stalowym moście, wspominał niekiedy jego dwóch drewnianych poprzedników, a także i lata, kiedy wraz z rodzicami przeprawał się przez Wisłę na łódkach i promem, na który „dwustronnie” wjeżdżały furmanki i było jeszcze miejsce dla pieszych. Całe swoje długie życie — a ma już dzisiaj pan Władysław Szewczyk 93 lata — mieszkał w Oblasach Dworskich. Z inżynierem Kozłowskim na zamkowej, Janowieckiej górze sadził orzechy włoskie, ale po gospodarskie sprawunki przeprawał się do Puław. Dzisiaj jest chyba najstarszym z użytkowników wszystkich puławskich mostów.

A więc po stalowym — jak go nazwaliśmy — „Prezydenckim” moście toczyło się codzienne życie Puław i okolicy aż do wybuchu II wojny światowej. Nie oszczędziła ona ani miasta, ani mostu. W czasie bombardowania

chodnich przyczółków wiślanych. Na południe, nieco dalej od resztek stalowego mostu, bohaterskimi walkami wstawił się 4 pułk piechoty. W kilka lat później jego imieniem nazwano dawną ulicę Browarną. W sierpniu 1944 front stanął na Wiśle. Ruszył wcześniej niż lody na rzece. W styczniu 1945 lewy brzeg Wisły był już wolny. Poniżej dawnego mostu radzieccy saperzy zbudowali tymczasowy, drewniany most. Nie oparł się on jednak wiślanym wodom. W 1948 r. trzeba było zastąpić go mostem pontonowym, ale w 1946 r. przystąpiono już do odbudowy „przedwojennego” mostu stalowego.

Tego zadania podjęło się prywatne przedsiębiorstwo „M. Gościński i L. Mroczek” na zlecenie Rejonowego Kierownictwa Odbudowy Mostów Drogowych w Kielcach. Pracami kierował sam pan Gościński, mając za konsultanta inż. Floriana Kowalewskiego, który niejednym most na przedwojennej Wiśle stawiał. Budowa, rozpoczęta jesienią 1946 roku, trwała ponad dwa lata; została ukończona na kilka miesięcy przed terminem. Nie była łatwa. Dawne, zniszczone konstrukcje mostu wy-

Z historii najnowszej: Gigantyczny bluff

„Brutus” - dzieje superagenta

Mirosław Derecki

WIECZOREM 6 czerwca 1944 r., gdy na plażach Normandii już od kilkunastu godzin alianckie wojska, biorące udział w inwazyjnej operacji „Overlord”, toczyły z Niemcami zacięte walki o każdą piędź ziemi, pułkownik Oskar Reile odebrał w paryskiej placówce Abwehry zaszyfrowaną depeszę radiową z Anglii od swego najlepszego agenta, „Brutusa”. Treść jej brzmiała: „W dniu dzisiejszym widziałem na własne oczy generała Eisenhowera, towarzysząc go królowi Jerzemu VI i Churchillowi, którzy składali wizytę w Dover generałowi Pattonowi dowódcy 1 Grupy Armii amerykańskiej”. Reile, niezwykle podekscytowany otrzymaną wiadomością, przekazał ją natychmiast do Berlina z odpowiednim komentarzem. Depesza „Brutusa” sugerowała, że w Dover szykuje się coś niezwykle „Coś”, co przerasta o niebo desant w Normandii...

W pół godziny później, dzięki brytyjskiemu nasłuchowi radiowemu, który przechwycił treść depeszy pułkownika Reile do Berlina, „Brutus” już wiedział, że Niemcy ostatecznie pokłękali haczyk. Uwierzyli w „Fortitude”, ten gigantyczny bluff przygotowany przez Anglików, który miał przedstawić operację normandzką jako działanie pozoracyjne i uspić czujność Niemców w rejonie Pas-de-Calais. „Brutus” odetchnął z ulgą. W istocie ten superagent Abwehry był... polskim oficerem i nazywał się Roman Czerniawski.

Aby zrozumieć, jak doszło do tego, że Roman Czerniawski, alias „Brutus”, stał się jednym z głównych trybów operacji „Fortitude”, musimy cofnąć się aż do początków niemieckiej inwazji na Francję.

Czerniawski, oficer polskiego lotnictwa, pilot myśliwski i oficer sztabowy, znalazł się we Francji jeszcze przed wybuchem II wojny światowej jako stażysta Ecole Supérieure de Guerre. Podczas kampanii francuskiej walczył jako pilot, za odwagę został odznaczony Croix de Guerre z palmą. Dotarłszy się gdzieś w Alzacji do niewoli niemieckiej, szybko zdołał odzyskać wolność. Mógł teraz, wzorem wielu swoich kolegów-pilotów, szukać dróg prowadzących do polskiego wojska w Wielkiej Brytanii, mógł też pozostać we Francji i zdecydować się na walkę w podziemiu. Wybrał to drugie. Zwiąawszy się — sobie tylko wiadomymi sposobami — z wywiadem angielskim, stworzył siatkę wywiadowczą, którą nazwał „Reseau Interallié” („Siatka Międzyaliancka”). Wkrótce „Armand” — bo taki pseudonim przybrał Roman Czerniawski — stanął na czele organizacji składającej się ze 160 ludzi, w większości francuskich lotników oraz kolejarzy. Miał swoje „placówki” w całej Francji. „Reseau Interallié” specjalizowała się w zbieraniu wiadomości o rozlokowaniu we Francji niemieckich jednostek wojskowych; uzyskane materiały przekazywano drogą radiową do Anglii. Jesienią 1941 r. organizacja osiągnęła taki stopień operatywności, że „Armand” był w posiadaniu dokładnej mapy dyslokacji wszystkich rozmieszczonych we Francji niemieckich jednostek do szczebla batalionu. I wtedy nastąpiła wielka „wsypa”. Nocą z 17 na 18 listopada 1941 r.

do mieszkania „Armanda” na paryskim Montmartre wkroczyło gestapo. Znalezione mnóstwo kompromitujących dokumentów. Roman Czerniawski został, oczywiście, aresztowany i osadzony w więzieniu we Fresnes pod Paryżem. W wyniku obławy na jego ludzi wkrótce w więzieniach gestapo w różnych częściach kraju znalazło się 64 członków „Siatki Międzyalianckiej”. Swoje aresztowanie oraz rozbięcie organizacji „zawdzięczał” Czerniawski jednemu z najbliższych współpracowników, kobiecie, którą Niemcy zdołali „odwrócić” na agenta Abwehry.

Pewnego dnia w więzieniu we Fresnes pojawił się pułkownik Oskar Reile, jedna z najbardziej znaczących postaci Abwehry we Francji, i zaproponował „Armandowi” przejście na stronę Niemców. Czyli zostanie agentem Abwehry!

Ta zaskakująca propozycja miała przecież swoje uzasadnienie. Natrafiony wśród papierów skonfiskowanych przez gestapo na wspomnianą już „mapę” skompletowaną przez „Armanda”, na której „rozpracowane” były 22 dywizje niemieckie podległe generałowi Stulpnagelowi, Reile nie omieszkiał pokazać jej głównemu zwierzchnikowi niemieckich wojsk w okupowanej części Francji. Stulpnagel, zamiast się speszyć, wpadł we wściekłość: „Dlaczego MY nie posiadamy podobnej mapy dotyczącej Anglików? — krzyczał. — Co robi pan, panie pułkowniku, co robią pańscy ludzie rezydujący w Wielkiej Brytanii? Chcę mieć podobną mapę opracowaną przez PANSKĄ siatkę wywiadowczą po drugiej stronie kanału! Być może, gdyby nie doszło do owej awantury, pułkownik Reile nigdy by się nie zdecydował na „zatrudnienie” Czerniawskiego-„Armanda”.

Prowadząc rozmowy z Reilem, „Armand” uświadomił sobie, że oto rysuje się przed nim nie tylko okazja odzyskania wolności, ale przede wszystkim możliwość dalszego, jeszcze bardziej efektywnego niż dotąd, szkolenia Niemcom. Zdecydował się zostać niemieckim agentem, pracującym w istocie dla aliantów. A przy tym, idąc na tę „współpracę”, miał szansę ocalenia swoich 64 podwładnych, czekających na wyroki śmierci w celach gestapo.

I ten właśnie ostatni argument postanowił rzucić na szalę w pertraktacjach z Reilem. Zdecydował się grać rolę „polskiego romantyka”, trochę egzaltowanego zawodowego oficera, „człowieka honoru”, który dla szczęścia ojczyzny oraz bezpieczeństwa ludzi, „za których los obarczyony został odpowiedzialnością”, gotów jest ponieść największe ofiary. Postawił wobec tego Reilemu trzy warunki: po pierwsze — otrzyma prawomocne zapewnienie, że po zakończeniu wojny Niemcy będą godnie traktować Polkę i Polaków; po drugie — 64 jego podwładnych będą Niemcy traktować nie jako szpiegów, lecz jako zwykłych jeńców wojennych; po trzecie — będzie działał absolutnie w pojedynkę, nie kontrolowany przez żadnego innego niemieckiego agenta. A to dlatego, aby nie dekonspirować swoich pozostałych na wolności byłych współpracowników, z którymi nawiąże kontakty w celu uzyskiwa-

nia wiadomości szpiegowskich dla Abwehry.

Reile w tej grze także dobrze zrozumiał rolę: przystał bez większego trudu na dwa ostatnie warunki, ale co do pierwszego „musiał” zwrócić się z odpowiednim pytaniem do niemieckich „czynników najwyższych”. I zajęło mu to aż dwa tygodnie. Po czym oznajmił Czerniawskiemu „z ulgą”, że admirał Canaris, szef Abwehry, przekazał mu z Berlina przyrzeczenie najwyższych władz niemieckich dobrego traktowania Polaków — jak tego chciał „Armand” — po wojnie.



Roman Czerniawski — zdjęcie współczesne.

Repr. Arkadiusz Karoń

Tak to obydwaj panowie doszli ostatecznie do ugody, opartej na „pełnym wzajemnym zaufaniu”. I pozostały już tylko do ustalenia „sprawy techniczne”. To znaczy szkolenie „Armanda” na agenta niemieckiego wywiadu działającego w Wielkiej Brytanii, przekazanie mu szyfru, jakim miał się posługiwać w przyszłości w nadawanych z Anglii meldunkach radiowych, ustalenie godzin nadawania oraz nasłuchu radiowego itp. No i zmiana „imienia”. Dotychczasowy „Armand” otrzymał kryptonim — „Brutus”.

Po zaaranżowaniu przez Reilego „ucieczki” Romana Czerniawskiego z samochodu przewożącego go na badanie w więzieniu we Fresnes do siedziby gestapo przy Avenue Foch w Paryżu w dniu 14 lipca 1942 r. (w istocie wypchnięto z auta jakiegoś członka francuskiego Ruchu Oporu — który nie wierzył we własne szczęście — „zmuszając” go niemal siłą do ucieczki, na oczach tłumów paryżan, i rozgłoszono, że był to „Armand”) — „Brutus” mógł przystąpić do swoich zadań.

Wykorzystując dawne konspiracyjne kontakty, nie śledzony — zgodnie z umową — przez agentów Abwehry (a może — zmyliwszy ich), Roman Czerniawski przekroczył niemiecko-francuską linię demarkacyjną — a następnie, przez Pireneje, dotarł do

Hiszpanii. W Madrycie zgłosił się natychmiast do ambasadora brytyjskiego, oświadczając: „Jestem „Armand” z „Siatki Międzyalianckiej”. Proszę o pomoc w przerzucie do Wielkiej Brytanii! Nie wspominał, oczywiście, że jest teraz „Brutusem”.

W Londynie zamejdował się u szefa II oddziału polskiego Sztabu Generalnego i podczas długiej rozmowy, po „zdekonspirowaniu się” przed, stawiał swój plan, który ochrzcił mianem „Wielkiej Gry”. Następnie skonfektowano go z generałem Sikorskim. Plan „Wielkiej Gry” bardzo przypadł Sikorskiemu do gustu. Rzecz istotnie nadawała się do wypłynięcia z nią na „szerokie wody”. Tak bardzo szerokie, że... nie wystarczyło by na nie samych tylko polskich możliwości. Rzecz była na miarę „ogólnoalianską” i dlatego Sikorski zawiadomił Anglików.

Zaraz następnego dnia „Brutus” odbył kolejną „jeszcze dłuższą rozmowę z kilkoma gentlemenami z supertajnej brytyjskiej organizacji kontrwywiadowczej, powstałej z inicjatywy samego Winstona Churchilla — „Double cross system” („Organizacja podwójnej gry” lub: „System podwójnych agentów”). „Brutus” zdawał sobie sprawę, że jeśli do owej „podwójnej gry” zostanie przez Anglików wciągnięty, zdoła — przy odpowiedniej okazji — osiągnąć dla aliantów i dla Polski bardzo wiele. Ale nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że osiągnie aż tak nieprawdopodobnie dużo, jak w przyszłości miało się okazać. Ze od sprawy dania lub niedania przez Niemców wiary wysyłanym przez niego „supertajnym” informacjom zależeć będą losy operacji „Overlord” latem 1944 r., powodzenie gigantycznego desantu alianckiego w Normandii.

Los owej operacji zależał właśnie teraz, w czasie tej rozmowy, od tego, czy Anglicy dadzą wiary słowom „Brutusa”, czy też uznają go za szczególnie przebiegłego, specjalnie przedstawionego przez Niemców, agenta... Anglicy — wyrazili zgodę.

Aby uwierzyć w „Abwehry” działalność „Brutusa”, trzeba było poświecić cały szereg tajemnic wojskowych. Jego meldunki musiały być absolutnie prawdziwe i przydatne Niemcom. Musiano go zarazem umieścić na takim stanowisku, które stwarzałoby możliwości zdobywania ważnych informacji w sposób dla Niemców przekonujący. Tak więc wkrótce Roman Czerniawski — jako dawny oficer sztabowy — otrzymał przydział do polskiego Sztabu Generalnego w Londynie. Zakres obowiązków, jakie mu powierzono, wymagał częstych wyjazdów poza Londyn, aby mógł z określonego, zakonspirowanego miejsca, nadawać radiowe meldunki dla pułkownika Reile w Paryżu. No i żeby jego częste znikanie z pracy nie wzbudziło przypadkiem podejrzeń kolegów-sztabowców, a co gorsze — oficerów „dwójki”, którzy mogliby go... „zdekonspirować”.

I tak oto, w styczniu 1943 r., „Brutus” zaczął wysyłać na falach eteru swoje meldunki, informacje o rozlokowaniu brytyjskich i amerykańskich jednostek wojskowych w Wielkiej Brytanii. Miał do pomocy przydzielonego przez Anglików z „Podwójnego systemu” superzaufanego radiotelegrafistę. Nazywał go „Chopinem”, bo przed emisją — nim sięgnął do klawisza nadawczego — miał on zwyczaj „grać” palcami na białej stołu, jakby ćwiczył fortepianowe wprawki dla „rozgrzania” palców.

A w Paryżu pułkownik Oskar Reile zacierał ręce, kompletując coraz bardziej wyraźną, tak bardzo pożądaną przez Abwehry, „mapę” wojsk alianckich w Wielkiej Brytanii.

(Dokończenie nastąpi)

(Przy pisaniu powyższego materiału korzystałem m. in. z wywiadu Michała Leclercq „L'Espion qui trompa Hitler”, „Paris Match” z 12 kwietnia ub. r., oraz pracy Władysława Kozaczuka — „Bitwa o tajemnice. Służby wywiadowcze Polski i Rzeszy Niemieckiej 1922—1939”. Warszawa 1977.

W sprawie księgozbioru Jesziwy

Do Redakcji „Kamena”

Uprzejmie proszę o umieszczenie sprostowania, dotyczącego artykułu pt. „Zagadki księgozbioru Jesziwy” (Kamena, nr 17 z dnia 25 VII 83). Autor

p. Mirosław Derecki, mimo woli powielił błędy drukarskie, które znalazły się w moim artykule zamieszczonym w 1971 r. w 23 tomie Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne.

Jest to mylnie wydrukowany: 1) rok

1944 tragicznej śmierci gen. Władysława Sikorskiego — zamiast 1943; 2) nazwisko Kazimierza Zduszkiewicza — zamiast Zdunkiewicza; 3) p. Sampolska — zamiast p. Wanda Sampolska.

Z poważaniem

M. Kunowska

Zamieszczając sprostowanie p. Marii Kunowskiej, zwracamy uwagę, że nie podaliśmy „mylnie” — jak stwierdza ona — roku śmierci gen. Sikorskiego

w 1944 r. Autor „Zagadki księgozbioru Jesziwy” pisze w swym raporcie wyraźnie: „W rocznicę tragicznej śmierci generała Władysława Sikorskiego, 4 lipca 1944 r., wykonano, prawie na oczach niemieckich...” itd.; General Sikorski zginął, oczywiście, rok wcześniej.

kamena

Wspominając Filipiaka...

DZIESIĘĆ lat temu, 24 stycznia 1976 roku, podczas uroczystości wręczenia Złotej Odznaki ZPAP, zmarł nagle w Lublinie Władysław Filipiak.

Obywając się bez regionalnej protezy językowo-aksjologicznej w rodzaju „lubelski”, można o nim powiedzieć, że był malarzem wybitnym. To przecie sprawa oczywista, na pewno opanowana uczuciowo i intelektualnie przez tych „plastyków lubelskich”, którzy — jak styszę od pewnego czasu — mżolą się nad spektakularnym ozdobieniem 50 rocznicy zorganizowanej działalności artystycznej w naszym mieście, zainicjowanej przez ZAP w 1936 roku, a kontynuowanej po II wojnie przez ZPAP. Rzecz w tym, że Filipiak był pierwszym prezesem związku z lat trzydziestych. Nieprzyjaźni mu ludzie, a miał ich na pęczki, próbowali fakt ów kwestionować, ale cóż zachowały się odpowiednie dokumenty, z których wynika to, co wyżej. Wierzę ponadto, że wzmianka na ten temat znajdzie się i w słowniku artystów lubelskich, który — jak mówią od niedawna w kawiarni hotelu „Unia” — bierze ktoś właśnie na warsztat, ociupinę już zresztą naoliwiony przez blisko 100 not biograficznych naszych „plastyków”, jakie zdążyłem opracować w ciągu lat dwudziestu, większość z nich publikując w dwóch katalogach jubileuszowych wystaw środowiska.

Filipiak był jednak nie tylko malarzem wybitnym, ale i akceptowanym przez szerokie kręgi inteligencji publiczności, co nie zawsze zdarza się w państwie. Dość przypomnieć, że pejzaże, portrety, martwe natury i kwiaty artysty znaj-

dują się w niemal stu prywatnych mieszka-
niach Lublina, należących do adwokatów, leka-
rzy, dziennikarzy, urzędników, pisarzy, uczonych,
inżynierów...

Najliczniejszy zbiór „filipiaków” posiada niewątpliwie pan Franciszek Kudelski, matematyk, który gromadzenie dzieł sztuki rozpoczął w 1971 roku — od zakupu w sklepie „Plastyka” płótna pt. „Martwa natura z fiaskami” (1958), sygnowanego właśnie przez ucznia Zbigniewa Prokaszki (oraz Wydry, Kłopotowskiego i Terleckiego). Ten niewielki olej (45 na 54 cm) kosztował wówczas 1800 zł, a więc ile przyszłoby za płócię zań dzisiaj, kiedy to np. malarka „od czasu do czasu” otrzymuje za zdawkowo pejsażyk 30 900 państwowych złotych?! Pan Kudelski z przejęciem kontynuuje niegdyśjsze tradycje lubelskich kolekcjonerów, oprócz prawie 30 prac Filipiaka, z czego 12 to oleje na płótnie, posiadając aż 105 grafik i rysunków Tadeusza Kuksiewicza oraz dzieła innych auto-

Malarstwo Filippiaka spotkać też można w różnych instytucjach, np. w puławskim Instytucie Weterynarii, gdzie powinno znajdować się 10 prac artysty. Jego autorstwa jest konterfekt prof. Henryka Raabego — bodaj najlepszy obraz w galerii portretów rektorów UMCS, urzędzonej w sali posiedzeń Senatu tej uczelni. Wizerunek Marii Bechzyz-Rudnickiej dominuje natomiast w scenografii naszego oddziału Związku Literatów Polskich przy ul. Granicznej...

Nie wiadomo natomiast, gdzie „wsiątko” 38 obrazów Filipiaka, które u schyłku lat sześćdziesiątych, w ramach urzędowej akcji kulturalno-handlowej, skierowano do 16 powiatów ówczesnej Lubelszczyzny, zresztą razem z pracami wielu innych artystów. Aktywny terenowy, na polecenie władz nadrzędnych ustawiony w roli mecenas sztuki, miał „rozchodować” ten cały majątek po stosownych placówkach lokalnych uniesień estetycznych, wypłacając autorom należne honoraria. Tymczasem — do końca życia Filipiak nie otrzymał ani pieniędzy, ani obrazów, ani choćby informacji, gdzie trafiły jego płótna. No cóż, przecież sam artysta pytał publicznie w roku

1952 (B): „Czy polityka nie przecenia roli malarzy”?

Na wszelki przypadek podaje, że najwięcej prac Piłpiaka, od trzech do pięciu, otrzymały wtedy takie miasta, jak Parczew, Puławy, Białystok, Hrubieszów, Łuków i Zamość. Rozglądając się, może znajdziecie, a warto, bo takie jedno „płócienko”, taka krucha rzecz sięga dziś ceny 150—200 tysięcy złotych, nawet więcej, o czym przypominam w przeświadczeniu, że ludzie szanują to, co kosztuje. Dawno temu przekonał się o tym znany marzand francuski, Vollard:

„W czasach, kiedy Luce zaczynał być sławny, miałem w oknie wystawowym mego sklepu jego obraz przedstawiający katedrę. Jakaś pani przechodząc mimo zatrzymała się przed obrazem i zapytała:

— Ile?
— Osiemset franków.
— Osiemset franków to nie jest cena, jakiej żąda się za obraz wielkiego malarza".

Wspomnę jeszcze, że jeden obraz Filipiaka znajduje się w jednostce wojskowej w Lublinie. Przedstawia on Wandę Wasilewską w kostiumie wojskowym i pochodzi prawdopodobnie z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

A mieszkańców Świdnika informuje, że wielkie mozaiki na zewnątrz (130 m kwadr.) i wewnątrz (120 m kwadr.) budynku przy tamtejszym basenie kąpielowym wykonał właśnie Filipiak, razem z żoną Jagą, utalentowaną malarką i ceramiką, której piękną twarz możecie Państwo oglądać na kilkuset płótnach jej męża.

Jeśli zaś chodzi o ekspozycje muzealne dzieł Filipiaka, to warto tu wskazać na Muzeum Kazi-
mierza Dolnego, które zresztą przygotowuje re-
trospektywną wystawę malarstwa artysty, w
znacznym stopniu korzystając z magazynowych
zasobów placówki lubelskiej...

Na koniec ciekawostka: już w 1954 roku Filipiak proponował powołanie stałej galerii lubelskiej sztuki współczesnej. No i nic. 28 lat później powstał scenariusz takiej instytucji. No i co?

IJK

Ekran i widz

Początki kina

DZIESIĄTA Muza skończyła 90 lat, i wszyscy piszący o filmie czują się w obowiązku przypomnieć ów historyczny, pierwszy seans filmowy, który odbył się 28 grudnia 1895 r. w godzinach popołudniowych w Salonie Indyjskim paryskiej kawiarni „Grand Café”, mieszczącej się przy Boulevard des Capucines pod numerem czterzystym.

Właściwie trudno chyba mówić — w odnie-
sieniu do tamtego wydarzenia — o „seansie”.
Był to przede wszystkim pierwszy publiczny
pokaz najnowszego „cudu techniki”, maszy-
ny nazwanej przez jej konstruktorów, braci
Louis i Augusta Lumière'ów, „kinematografem”.
Która zdolna była rzucać na płócienny, biały e-
kran „ruchome” fotografie. Lumière'owie prowa-
dzili w Lyonie fabrykę sprzętu fotograficznego
i swój wynalazek mogli traktować jako swoistą
reklamę własnych wyrobów.

Kino skończyło 90 lat... Lecz ma ich może znacznie więcej? 28 grudnia 1895 r. to tylko data umowna. Już latem 1895 r. Lumière'owie prezentowali swój wynalazek naukowcom i przemysłowcom, zaś skonstruowali kinematograf — rok wcześniej. Co więcej — kinematograf braci Lumière był przetworzoną i udoskonaloną wersją „kinetoskopu” Tomasa Edisona. Aparatu, który pozwalał na oglądanie „ożywionych fotografii” przez jedną tylko osobę. Edison skonstruował kinoskop już w 1889 r.

A może za datę narodzin kina należy przyjąć rok 1887, kiedy to Anglik, Friese-Green, wygalał celuloidową taśmę fotograficzną? Albo rok 1924, gdy angielski uczone, Peter Mark Roget, o-

głosił pracę pt. „The Persistence of Vision with Regard of Moving Objects” („O zachowaniu obrazu ruchomych przedmiotów”), w której dowodził, że zachowujemy przez jedną dziesiątą sekundy widok obrazu, choć zniknął on już w istocie sprzed naszych oczu — na tym to „złudzeniu” opiera się przecież cała zasada „ruchomych fotografii”, a więc kina?

Co do jednego tylko nie ma wątpliwości: w polowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia ani konstruktorzy aparatów kinematograficznych, ani ludzie nauki, ani artyści nie widzieli przyszłości dla nowego wynalazku. A wielu odnosiło się doń wręcz wrogo.

Anatol France traktował kino jako „niepokojący nawrót do barbarzyństwa”. Jeszcze w 1914 r. Maurycy Maeterlinck przewidywał, że „razem z karuzelą i fonografem znajdzie się (kino) na wygnaniu w afrykańskich koloniach; film to rzecz dla dzikusów!” Jeden Edison twierdził uparcie: „(Film) to potężny ocean możliwości. Wychowawcy nastawieni są na książkę, lecz w swoim czasie odnajdą film”.

Szereg lat później Lenin, poza słynnym stwierdzeniem: „Ze wszystkich sztuk najważniejsze jest dla nas kino”, miał wypowiedzieć zdanie równie celne: „Filmowi prędzej uwierza niż szkole”.

Kino zaczęło podbijać świat w tempie błyskawicznym. W ciągu niespełna roku dotarło także do Polski. Pierwszy pokaz filmowy odbył się w Krakowie w sobotę, 14 listopada 1896 r. w sali Teatru Miejskiego. 8 grudnia tegoż roku zaprezentowano kinematograf w Warszawie, w cyrku Cimsellich.

Do Lublina z Warszawy było zaledwie 160 kilometrów i funkcjonowała już na tej trasie Kolej Nadwiślańska, ale na pierwszy pokaz filmowy trzeba było w Lublinie czekać jeszcze całe dwa lata. Dopiero w styczniu 1899 r. zaprezentowano w tutejszym gmachu Teatru Wielkiego przy ulicy Namiesznikowskiej (dzisiejszej Narutowicza) „sine- matograf oraz maszynę koncertową”. Wyświetlono wówczas szereg krótkich filmów: „Artyleria powstańcza na Kubie”, „Przybycie pociągu w pelnym

biegu", „Wysadzenie okrętu przez torpedowców w powietrze", a także pierwszy króciutki filmik nakręcony w Polsce — „Zaspany dorożkarz i wyprężenie konia", w którym grał m.in. Kazimierz Junosza-Stepowski. Twórcą filmu był polski konstruktor kinematografu, tzw. „pleografu" inż. Kazimierz Prószyński.

Pierwsze lubelskie kino stałe (i zarazem jedno z pierwszych stałych kin w Królestwie Kongresowym) — „Théâtre Optique Parisien” — rozpoczęło działalność 3 stycznia 1908 r. w tzw. Teatrze Makowskich, w dawnym budynku teatralnym przy ulicy Jezuickiej na Starym Mieście. Zmieniając wielokrotnie nazwę, dotrwało aż do lat ostatnich jako kino „Staromiejskie” — swoisty kinowy ewenement na skalę ogólnopolską! Niestety, po obecnie prowadzonym w budynku, kapitalnym remoncie sala zostanie przeznaczona na imprezy teatralne i estradowe — niepowetowana strata dla ciągłości polskiej kultury filmowej!

W 1912 roku było już w Lublinie sześć kinematografów: „Bioskop Lubelski”, „Moderne”, „Lux”, „Rusalka”, „Kultura” oraz „Oaza”, która stała u zbiegu ulic Radziwiłłowskiej i Początkowskiej (dziś ulicy Dymitrowa i Staszica). Był to budynek dotychczasowego Lubelskiego Skating-ring, czyli Wrotowska. Latem 1912 r. został on przebudowany na kino. Uroczystość poświęcenia nowego kino-teatru odbyła się we wrześniu 1912 r.; jednym z większych wydarzeń w tym okresie była premiera, 8 listopada, „Nędzników” wg Wiktora Hugo, oczywiście w wersji niemieckiej.

Po kolejnych przebudowach „Oaza” czterokrotnie powiększyła wielkość widowni, mogła ona pomieścić tysiąc osób; zmieniono także nazwę kina. Aż do II wojny światowej egzystowało ono jako „Corso”, największa i najelegantsza placówka tego typu w Lublinie. Pod koniec wojny kino „Corso” spłonęło doszczętnie, dzisiaj na jego miejscu znajduje się skwer i parking samochodowy — na tyłach pałacyku Lubelskiego Towarzystwa Naukowego.

M. D.

z notatnika

Dokończenie ze str. 2

1) Uczestniczyłem w bardzo interesującym spotkaniu sekretarza KW PZPR w Lublinie, Michała Bokina, z młodzieżą Zespołu Szkół Samochodowych.

To była bardzo szczerą, bezpośrednią rozmowa, trwająca bez przerwy niemal trzy godziny. Padaly i trudne pytania; sekretarz nie upiększał skomplikowanych problemów naszej gospodarki, nie robił tzw. uników i na pewno zyskał sobie sympatię zebranych. Moim zdaniem takie spotkania powinny odbywać się jak najczęściej. Działacze, zarówno partyjni jak i admini-stracyjni, muszą tak gospodarować czasem, aby spotkania, podobne do tego, o którym piszę, nie należały do rodzynek. Oczywiście z młodzieżą, która na wiele zja-

wisk naszego życia patrzy krytycznie, należy umieć rozmawiać, dyskutować, traktować ją z całą powagą, ale jednocześnie czuć się wśród niej swobodnie. Zle by było, gdyby tylko Michał Bokiniś umiał dokonać tej sztuki.

2) Odbyło się otwarte zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Związku Literatów Polskich i „Kamienie” na temat naszego pisma. Nie brakowało uwag krytycznych. Wiadomo: środowisko literackie chciałoby mieć jak najwięcej miejsca na publikację swych utworów. Kierownictwo redakcji uważa, że wiele spraw spornych zeszłoby z wokandy, gdyby zmieniła się częstotliwość ukazywania się „Kamieni”, ale to przede wszystkim zależy od Lubelskich Zakładów Graficznych. Sprawa pozostaje otwarta. My jesteśmy ZA!

3) W Lublinie powołano tymczasowy Zarząd Wojewódzki Stowarzyszenia Wisła — Odra. Prezesem (przewodniczącym?) został Lesław Gnoć, doświadczony dziennikarz, zdolny organizator. Gratuluję wyboru i życzę, by Stowarzyszenie i na Lubelszczyźnie rozwinęło swą działalność. Na zebraniu padło wiele cennych propozycji w tym względzie. Chętni, którzy chcieliby wstąpić do Stowarzyszenia, powinni wiedzieć, że jego tymczasową siedzibą jest Klub Międzynarodowej Prasy i Książki (Krakowskie Przedmieście). Ponieważ niżej podpisanego wybrano na delegata na Krajowy Zjazd Stowarzyszenia („na delegata... na Krajowy...” — nie bardzo mi to brzmi...) — spodziewajcie się relacji w „Kamencie”!

M. A. Jaworski

15 (ostalni)

— Panie Jaskier — powiedział do mnie naczelnicy „Kamieny” — ja nie będę panu zakładać na twarz kagańca i nie będę pana prowadzić na smyczy, ale kończ już pan, do diabła, tę powieść! Nie mam — dodał — miejsca na rzeczy poważne, wiersze (tu wymienili kilka nazwisk), opowiadania (tu też wymienili kilka, zapamiętałem jedno — Próchniewiczza), eseje literackie (żadne nazwisko nie padło), a pan tu będzie jakiegoś dywagacje uskuteczniał na temat Izy, Leona, Wacka, Wandy, które to osoby ani mnie ziębią ani grzeją. Tysiące czytelników „Kamieny” mają dalej z napięciem oczekiwać, czy Halinie złożyła wreszcie wizytę kochana ciotunia? Czy to jest aż tak istotne, jak potoczą się dalsze losy Izy? Niech się wreszcie prześpi z tym redaktorem w hotelu, jeśli jej małżonek leci na pieniędzy i samochody Wandy! Pies ja drapał (tak dosłownie powiedział naczelnicy, choć nie uzyskałem konkretnej informacji, do kogo to „ją” się odnosiło). Pan myśli, że w dzisiejszych czasach to wszystko, o czym pan próbuje pisać, może jeszcze kogoś poważnie zainteresować?

Ręce, przyznaję, mi opadły, nie tak się umawialiśmy, próbowałem wyrazić swoje wątpliwości. Przerwał mi gwałtownie:

— Umawialiśmy się, panie Jaskier, że będzie pan ze swoją powieścią na bieżąco. Co z tego wyszło? Nic, bo ciągle akcja toczy się w czerwcu 1985 roku. To do (tu padło niecenzuralne słowo) niepodobne! Miali być też konkretne osoby, z nazwiskami, żyjące w Lublinie, chodziło mi o to, aby ktoś się oburzył, obraził, wytoczył nawet proces sądowy. A pan, jeśli nawet wymieni autentyczne nazwisko, jak chociażby dyrektora „Unii” pana Moskaluka, to tak, aby pogłaskać, popieścić. Wygląda nawet na to, że pan „Unii” robi reklamę, chwalać restauracyjne jadła i napitki. Czy pan z tego coś ma?

Tu mnie uraził do głębi, aż się podniosłem z redakcyjnego fotela.

— Siadaj pan! — osadził mnie gwałtownie. —
Zażartowałem sobie tylko.

— Więc co pan proponuje, panie redaktorze? Mam natychmiast, niemal z dnia na dzień, przerywać pisanie tej powieści?

— A pisz pan sobie dalej, niejedna powieść utonęła już w szufladzie, i to powieść poważna. Żadnego tam hyde parku!

— Moja — próbowałem się tłumaczyć — celowo ma ten nadtytuł z „Hyde parku”, co ją we właściwym świetle ustawia. W księgarniach leżą eale stopy powieści, które są przez autorów traktowane z powagą, ale których poziom daleki jest od doskonałości. Weźmy dla przykładu ... (teraz ja wymienilem kilka nazwisk).

— Tylko bez prowokacji! — zawołał naczelny, wzburzony wielce. — Współcześni mogą się mylić! Norwida doceniono dopiero po śmierci!

— Myśli pan, że z (tu też posłużyłem się nazwiskiem pewnego literata) będzie to samo?

Rozstaliśmy się raczej chłodno. Jedno udało mi się uzyskać: pozwolił, abym na jednej stronie manuskryptu dokonał streszczenia dalszego ciągu „Naszej Isaury”. Zadanie jest oczywiście niewykonalne, ponieważ tego dalszego ciągu po prostu nie ma! Cóż więc mam robić? W jaki sposób połączyć poszczególne wątki?

Podobno dla chcącego nie ma nic niemożliwego. A więc po kolei.

W poprzednim odcinku zostaliśmy się z Leonem i Wandą, kiedy ci zasiedli na stołkach przy barze w zamajskim „Jubilacie”. Pani Kryśka tak zachęcała, że Leon i Wanda opróżnili po kilka kieliszków koniaku. Nie mogli już wrócić do Lublina, bo nie miałby kto kierować samochodem. Na szczęście znaleźli w hotelu wolny pokój i bez zbędnych ceregieli zrobili to, co mężczyzna robi z kobietą, a kobieta z mężczyzną. Pożniej w domu Leon przeżył sądny dzień, ale wszystko skończyło się happy endem. W rzeczywistości tak się tylko Leonowi zdawało, bo Iza mu się zrewanżowała pięknym za nadobne i przespała się z redaktorem. Oboje byli jednak niezbyt uważni i Iza zaszła w ciążę. Leon o tej zdradzie nie wiedział i uważał, że to jemu właśnie nie wyszło (a właściwie wyszło) i potem dziecko redaktora kochał jak własne. Wanda wróciła do Warszawy, ale Leon kontynuował romans jeszcze przez czas dłuższy. Wandzie ostatecznie znudziła się jednak ta miłość na odległość, a w dodatku zaczęła mieć poważne kłopoty z Izą Skarbową, toteż ofertę małżeństwa z grupą Amerykaninem przyjęła jak zbawienie i wyjechała do USA, skąd nawet raz przysłała paczkę Leonowi z jakimś przyrządami, które na Zachodzie można kupić w każdym seks-salonie, ale które Urząd Celný zakwestionował, o czym odpowiednim pismem poinformował Leona. Musiała to być z jej strony jakaś złośliwość, ale Leon i tak nie wiedział, czym go chciała obdarzyć, więc sprawa przyschła. Leon miał zresztą inne sprawy na głowie, bo założył własny warsztat samochodowy i musiał pilnować interesu. Jeśli zaś chodzi o Halinę, siostrę Izy, to ta szczęśliwie dla siebie, poroniła, a potem wyszła za mąż za pewnego znanego w mieście dyrektora, który porzucił dla niej i żonę, i dzieci, i stanowisko. Niestety, studiów nie skończyła...

Tyle. Kto czuje niedosyt, niech się kłóci z redaktorem naczelnym „Kamieny”, ja swoje zrobiłem i piszę:

KONIEC

Muzyka młodzieżowa

Eddy - muzyk i bojownik

Z DALEKA, bo aż ze słonecznego Barbados przybył w grudniu do Warszawy, zdobywający coraz większą renomę w świecie muzyczny gość. Jego wizytę w Polsce poprzedziła tonpressowska edycja kasety „Going For Broke” i album „At His Best”. Mowa oczywiście o Eddym Grancie – ciemnoskórym śpiewaku, multiinstrumentaliście, kompozytorze, aranżerze i producencie nagrań, uważanym przez niektórych za najwybitniejszego (po śmierci Boba Marleya) przedstawiciela nurtu reggae. W dyskotekowych niemal produkcjach Eddy’ego można doszukać się licznych przykładów tradycyjnej muzyki tanecznej, doprawionej modną elektroniką i pulsującą perkusją Simmonsa. Wyczuwa się w nich rytmy ska, calypso i reggae.

Grant uważa siebie za człowieka oddanego bez reszty muzyce, co niekoniecznie należy łączyć z uporczywym pomnażaniem konta bankowego. Pieniądzy obchodzą go akurat mało. Najważniejsza jest osobista satysfakcja twórcy i oklaskującej go publiczności. Taka postawa pozwoliła Eddy'emu wystąpić za darmo na Kubie, a także za niezbyt wielkie sumy na Węgrzech, w Jugosławii i Polsce. „Niech wszędzie rozbrzmiewa muzyka!” — to hasło wyznawane przez naszego gościa.

Nazwisko Eddy'ego Granta znane jest nie tylko bywalcom dyskotek, gdzie z dużym powodzeniem kręciły się jego dyski: „Electric Avenue”, „Boys in the Street” oraz „Romancing the Stone”. Ten 33-letni Mu-

rzyn o bujnych lokach rastafarianina urodził się w Gulanie Brytyjskiej. Na estradzie angielskiej febiutował w wieku 17 lat. Łączyło mu się zmontować w 1966 roku czarno-białą grupę Equals, która w dwa lata później wyłansowała na Wyspach Brytyjskich swój największy przebój — „Baby Come Back”. Śpiewa go Eddy do dzisiaj obok innych własnych szlagierów — „Walking On Sunshine”, „Living On The Frontline”, „Do You Feel My Love” i „I Don't Wanna Dance”. Wspólnie z Equals zdolał przebić się na listy jeszcze z dwoma głosnymi przebojami — „Black Skinned Blue Eyed Boys” i „Viva Bobby Joe”. Szczęście nie trwało jednak długo. Prowadzenie grupy uniemożliwiła przeciagająca się choroba Eddy'ego. Została uciec ona rozpalana

Niebawem Grant postarał się o otwarcie własnego studia nagrań i promowanie wykonawców z kręgu muzyki reggae, w czym pomogło mu stworzenie w 1974 roku małej wytwórni Ice Records. Zatrudnił w niej na zasadzie współdziałalówco własne rodzeństwo i żonę. Po dwudziestu latach pobytu w Wielkiej Brytanii zdobył majątek pozwalający mu osiedlić się z rodziną na wyspie Barbados. Tam zbudował nowoczesne studio „Blue Wave” do 48-śladowych nagrań. Korzystał z niego nie tylko właściciel, ale i największe gwiazdy estrady (m.

In. Sting. Powodzenie lansowanych przez siebie wykonawców muzyki reggae przekonało Granta do ponownia własnych prób nagrań. Bardzo szybko zyskał uznanie na Karalbach, skąd z czasem przeniosło się ono do Europy Zachodniej. Pierwsze samodzielne albumy firmowane przez Ice Records — „Message Man” i „Walking On Sunshine” — doczekały się szybko złotych trofeów. Doceniono je także w Wielkiej Brytanii.

W wykonywanych przez siebie piosenkach pozostał Grant bojownikiem o prawa Muzułmanów. Jego teksty są, co podkreślała recenzentka, wojujące politycznie, biorące w obronę pokrzywdzonych i uciśnionych. W ten sposób Eddy podkreśla związki krwi z czarnymi braćmi. Taneeczne melodie nie przekazują mu zabierając głosu w dyskusji na tematy ważne i walczący np. z rasizmem. Pobyt na scenie wykorzystuje także do podkreślania solidarności z walczącymi o wolność narodami czarnej Afryki. Cieszy się on tam dużym powodzeniem. Sukces, który zdobył w Europie latem 1979 roku dzięki piosence „Living On the Frontline”, zdaje się go nie opuszczać do dzisiaj.

Istvan Grabowski

List otwarty do I. Grabowskiego

Szanowny Panie!

Piszemy do Pana pod wrażeniem właśnie przeczytanego w „Kamieniu” z dnia 15 grudnia 85 r. artykułu Pańskiego pióra pt. „Marionetki rocka”.

Jesteśmy fankami zespołu „Papa Dance” śmiech nas pusty bierze, gdy czytamy te Pańskie, przepaszamy, że ośmielamy się tak to nazwać, „brednie”. Pan myśli pewnie że jesteśmy kolejnymi gówniarami, „zakochanymi po uszy” w którymś z pięciu „chłopiasów o buziach niewinnych aniołków”? Otóż nie! Nasza sympatia do tego zespołu nie bierze się stąd. Jest ona podyktowana zupełnie czymś innym. Muzyką młodzieżową interesujemy się dopiero od około trzech lat, ale ośmielimy się stwierdzić, że posiadamy już jakie takie doświadczenie w tej dziedzinie. Przede wszystkim dziwi nas Pańska znikoma wiedza o historii zespołu, który zdecydował się Pan tak ohydnie oskażować. Jeżeli już chodzi o ścisłość, to „Papa Dance” pierwotnie tworzyło trzech „chłopiasów”: Grzegorz, Marek i Tadeusz. Konstanty doszedł dopiero po nagraniu dwóch pierwszych piosenek. Teraz jest ich pięciu. Łącznie z Krzysztofem, ale niepiszą z tym

Czy wrócił Pan uwagę, że do tej pory polską czołówkę muzyczną stanowiły w większości zespoły heavy metalowe lub o brzmieniu zbliżonym do tego nurtu, podczas gdy w innych krajach, np. w RFN, powstają zespoły podobne do „Papa Dance”, np. „Modern Talking”, i są bardzo lubiane przez duże rzesze młodzieży. Zapytujemy więc, czy tylko muzyka o brzmieniu heavy metalowym jest muzyką w pełnym tego słowa znaczeniu? Czy karteczki z napisem „popularny idol” mają prawo nosić tylko ci ludzie, którzy na scenie nie reprezentują nic poza doskonale opanowaną sztuką „wycia”, dziwnie ustrojeni, niby choinka na Boże Narodzenie, i reprezentujący często dość niski poziom kultury osobistej i ci, dla których muzyka jest doskonałym sposobem wyzucia się (np. „Oddział Zamknięty”, „Mama” itp.)? Są przecież ludzie, refleksyjny na taką właśnie lekką, wesołą muzykę i proste słowa, którymi czasem można wyrazić więcej niż przy pomocy zawitych, często brutalnych wyrażań.

„Słuchając kompozycji „Papa Dance”, można się dobrze zabawić, a może nawet lepiej. Są to utwory „milde dla ucha”, przy których doskonale wypoczywa się psychicznie. Są Oni w tej chwili prekursorami tego nurtu i chwala im za to. Czy Pan w ogóle był na koncercie „Papa Dance” w Lublinie? Chyba nie? My, jako naoczne obserwatorki tej „kompromitacji” rozpoczętej o 16.30, byliśmy zachwyceni ich koncertem. Występ był naprawdę wspaniały, a hala WOSIR-u przepełniona.

Twierdził Pan, że na koncertach „wialo od nich amatorszczyzna”. Czy aby na pewno amatorek można nazwać kogoś, kto był członkiem tak znanej i rutynowanej formacji jak „3+1” czy nieco młodszymi: „Kapitan Nemo”, czy np. „Waly Jagiellońskie”? Wszyscy muzycy zespołu ukończyli szkołę muzyczną i mają trochę rozeznaną w swoim zawodzie, a że mają świetny sprzęt, to już wyłącznie ich zasługa i starania. Płyta, którą określił Pan „bublem wydanym przez »Savitor«”, o dziwo, stosunkowo szybko znikła ze sklepowych półek, podczas gdy W.P. „Baden-Baden” leży tam już trzy miesiące.

Czy ten zespół był naprawdę tak bardzo faworyzowany przez TP i PR? Nie sądzimy, wydaje nam się, że domniemyamy przebieg Lata '65 „Daj mi tę noc” był bardziej faworyzowany, choć nie zdobył takiej popularności jak „Zenupajo słaby kawalek” pt.

„Kamikadze, wróć!”. Sądzymy, że ten artykuł powstał wyłącznie pod wpływem Pańskich upodobań muzycznych. Jeśli nie znosi Pan takiej muzyki, to mógłby Pan przynajmniej nie wypisywać publicznie takich głupot i nie ośmieszać siebie samego. Ciekawe, że nie słyszał Pan o czymś takim jak zjawisko tolerancji muzycznej, które jest bardzo rozpowszechnione we wszystkich krajach Europy i nie tylko. Odsyłamy Pana w tym momencie do grudniowego numeru „Non Stopu” — str. 10.

Był to z Pańskiej strony „ordynarny faul”. Nie dosyć tego; chcąc postawić kropkę nad „i”, pisze Pan: „Stuchając ich, dajmy na to przy gołeniu, ma się ogromna ochota ciachnąć brzytwą szmirusów”. Pańska wypowiedź sugeruje o tkwiącej w Panu pewnej dozie sadyzmu i radzilibyśmy zwrócić się z tym do psychiatry. Jeśli chodziło Panu o zdenierowanie fanów „Papa Dance”, to uzyskał Pan zamierzony cel. Choć, jak na razie, nie obrzydził Pan ani Im, jak sadzimy, ani nam — życia.

Treść piosenki była, jest i będzie zawsze bardzo banalna. Tyle tylko że jedni wyrażają ją w prostych częstotliwościach bardziej „zjadliwych kawalkach” jak Shakin’ Stevens, Limahl, G. Michael, OMD, The Beatles, Papa Dance itp., a inni nieco inaczej: TSA, Aya RL, AC/DC, Iron Maiden, Van Halen, 220 V... ale w rzeczywistości ci drudzy nie tworzą niczego nowego, co mogłoby być rewolucyjnym wynalazkiem. Radziłybyśmy Panu następnym razem poważniej zastanowić się nad tym, co się chce powiedzieć i napisać.

PS. Prosimy o zachowanie naszych nazwisk i adresów do wyłącznej dyspozycji redakcji.

Drogie Czytelniczki!!
Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się Waszej reakcji. Nie byłem więc zaskoczony listami kierowanymi do redakcji. Z tonu listu wynika, że jesteście bezkrytyczne w wielbieniu swoich idoli. Nie przeszkadza Wam uidać, że uprawiają oni na co dzień szmistej papkę, niegodną nawet nazwy muzyki komercyjnej. Członkowie Papa Dance potrafią bardzo niewiele, a ich płyta jest tego najbardziej wymownym dowodem. Radzę więc Panom nie gorączkować się w wyściganu najbardziej wymyślnych argumentów, a ponownie usiąść do słuchania albumu Savorito, który mnie osobiście przyprowadza o bół zębów. W lansowaniu złego gustu może chłopcom z Papa Dance dorównać chyba tylko nie mniej „rewelacyjna” grupa Bolter. Popowulizując się na grupy spod znaku heavy metal nie ma najmniejszego sensu, bo — po pierwsze — nigdy w swych publikacjach nie uważałem, że to najlepszy gatunek muzyki, a po drugie — nie faworyzowałem żadnej z formacji tego stylu. Mój tekst o zespole Papa Dance nie miał. Drogie Antagonistki, charakteru „otwartej napaści” (jak utrzymujecie). Próbowałem, bezkrytycznie zapatrzonym w idoli nastolatkom. Lubię każdy rodzaj dobrej, wartościowej muzyki. Takiej, niestety, nie tworzy i nie wykonuje ucielebiana przez Was grupa.

Istvan Grabowski

Jak widać, obie strony zostają przy swoim zdaniu. De gustibus...
(Red.)

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasieński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) – Ewa Dybek (korektor) – Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie ramowych, zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich otrzymuje interesantów kierownik działu w dniach 14-16.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Ulicka 1.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 8 tel. 255-30.

Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-25.

Korespondencje i zapytania prosimy kierować pod adresem: 20-050 Lublin skrytka pocztowa 231, pocztowo – ekspresowo – pod adresem redakcji.

Sam. 34/93 1993.01.02. W.

Zam. 54/25. 1923.01.07. F-4.

Nadzieja i cień obawy

Henryk Więclawski

SWIDNICKA Avia to dziwna firma, tak jak sam Swidnik to miasto dziwne, choć nie jedyne w swoim rodzaju. Organizacyjnie, i nazwijmy to, prestiżowo klub przewyższa zdecydowanie wszystkich pozostałych piłkarskich trzecioligowców, dostarcza rutynowo zawodników do najlepszych drużyn w Polsce, a przy tym wędruje jak przysłowiowy bumerang od ligi do ligi. To zespół przyfabryczny, żyjący z WSK i będący jej naturalnym dzieckiem. Załoga płaci składki regularnie i bez szemrania, lecz jakby z nawyku. Na mecze przychodzi bowiem zaledwie garstka tych najwierniejszych.

A samo miasto? Przecupnięte do Lublina, pozbawione wyrazu, choć prezentuje szerszą gamę szarych samochodów niż „metropolia”; nie ma nawet przyzwoitej kawiarni. A po wieczornym filmie hula tu wiatr pustymi ulicami. Zapewne byli i obecni kontraktowcy eksportowi a także ci z perspektywami, bawią się w wydzielonych enklawach za firankami blokowych kłitek. Czasami huknie nad ulicą wieczorny śpiew.

Siatkarze pomarnieli i zmarniali piłka. Wszystko, co było najlepsze, ułotniło się w wielki świat. Era Wójtowicza i Łaski odeszła w przeszłość. Podobnie rozpadła się i w piłce nożnej mielecka Stal, mimo świeżego statusu pierwszoligowca. Małe miasteczka, będące niegdyś oazami dużego sportu, wypadły z gry. Zamarli w letargicznym uśpieniu. W trudnym świecie, coraz nachalniej rozpychającym się lokciami, tylko rekiny zachowały szansę.

Ubiegły sezon był dla piłkarzy Avii sezonem goryczy. Mając pozostanie w II lidze w bezpośrednim zasięgu ręki musieli ją opuścić. Przyszło im teraz grać w regionie, często na boiskach kanciastych i wyboistych, w trudzie futbolowej orki, w poślednim wydaniu. Z zawodowców znów przedzierzgnęli się amatorzy. Powrócili na fabryczne listy plac, choć nie za pulpity obrabiarek. Czasami porządkują nawet boisko, aby fikcja nie pozostała nią aż do samego końca.

Jak to zwykle bywa w takich chwilach, od nowego sezonu zaczęła się karuzela piłkarzy i działaczy. Po kilkutygodniowej szarpaninie opiekę nad zespołem objął wreszcie trener Galek, szkoleniowiec z reputacją i sporą gamą sukcesów w zawodowym dorobku. Start w nowym towarzystwie okazał się udany. Procentowało drugoligowe obycie. Sytuację w drużynie zastał on jednak opłakaną. Przeprowadzone badania wydolnościowe wykazały fatalne przygotowanie fizyczne zawodników. Z psychiką nie było wcale lepiej. Trener, wyznający zasadę, co fa-

chowe — fachowcom, zwrócił się i do psychologa. Testy na tzw. zwartość grupy potwierdziły brak zaufania drużyny do niektórych kolegów. Zwycięstwa towarzyszyły zespołowi na trzecioligowym podwórku niejako z klucza, ale perspektyw świdnicka jedenastka w takim stanie nie mogła mieć żadnych. Zaczęła się przebudowa w mozolnym trudzie codziennej pracy. I, wybiegając w przyszłość, na przekonaniu, że przyniesie ona efekty, można opierać optymizm przed wiosenną odsłoną. Na dobrą sprawę, drużyna nie była bowiem budowana od złotego wieku Waligóry i Gajewskiego. Opierano się dotąd na improwizacji i rutynie. Z przybyciem nowego opiekuna niektórzy zawodnicy musieli opuścić klub. Doszłusowało kilku młodych. I ci stanowią teraz trzon drużyny. Ze starych pozostali Koozczański i kilku innych Janusz Galek jest dobrym „szperaczem”. Wygrzebał wiele talentów. A, jak mówi, Lubelszczyzna to swoista ich kopalnia. Co sezon wychodzą stąd piłkarze do krajowej ekstraklasy. Że nie pozostają tutaj dłużej, to temat oddzielny.

„Mam teraz dobry zespół — słyszę od trenera. — Zebrała się grupa zawodników, którzy oprócz udanego startu w Pucharze Polski nie jeszcze nie osiągnęli. Rwą się do gry i pragną sukcesów. A ci starzy już wiedzą, że sami zawalili II ligę. I wiedzą dlaczego. Jest to jednak drużyna o trudnym charakterze, wymagająca silnej ręki. Kiedy uzmysłowilem sobie, ile pracy nas czeka i narzuciłem ostry reżim treningowy, powitali mnie buntem. Nie byli przyzwyczajeni do harówki. Teraz nabrali wiary, gdyż widzą efekty. I ja wierzę w moich chłopców. Zawodnicy z małych miast mają charakter. Wszyscy pragniemy powrotu do II ligi i jeśli tylko nie zakłóci harmonii przygotowań, z awansem nie powinno być problemu, a potem i w lidze możemy zrobić dobre miejsce. Może nawet najlepsze w klubowej historii”.

Do przebudowy włączyli się także działacze. W Avii poprawiła się znacznie atmosfera. Dwa boiska treningowe są już na ukończeniu. Zapleca może pozazdrościć klubowi niejeden potentat. Hala, basen, wszystko na miejscu. Nawet za lokalizacją zgromadzenia nie trzeba wędrować po kraju. Kierownik drużyny, Radosław Ruba, tryska energią. Prezes steruje „nowym” odważnie i bez zahamowań. Na jesień ubiegłego roku chłopcy pokazali, na co ich stać. Mecze z Ruchem i Pogonią znów przypomniły Avie futbolowym fanom w całym kraju. Pech chciał, że właśnie wtedy wypalił Jarocin, gdzie uwikłani w obcy swym przyzwyczajeniom reżim, trzymali

w karbach przez całą rundę, po szczecińskiej porażce mocno przesadzili w poszukiwaniu odpuszczenia. Prasa lokalna i centralna podchwyciła sensację. Odradzająca się sportowo drużyna sama zadawała sobie cios obuchem. Zarząd klubu zareagował szybko. Winnych zawieszono w prawach zawodniczych opiekunowie zostali ukarani. Spokój wrócił do drużyny. Przynajmniej na to wygląda. Wszyscy wokół to potwierdzają. Czas pokaze. Z pewnością nie było to jednak najlepsze zakończenie jesiennej rundy.

A perspektywy? Nadchodzący sezon nie będzie na pewno łatwy. Wiadomo, z liderem każdy chce zamieszać, po klubowym pawilonie zaś już kręca się dyskretni panowie, nie tylko z Widzewa. Oni wiedzą, kiedy najlepiej kupować. Skórzane teczki mają gładko wypchane boki. Mówi się o bramkarzu Paciorkowskim i kilku innych. A drużyna i tak poniosła ostatnio poważne straty. Odszedł Kostrzewa. Makuch gra w Stali Mielec, Kondziaka wypożyczył Motor a doświadczony Tosiek zakończył karierę. Szkolenie młodzieży nadal kuleje. Brak ponoć sprzętu i kadry trenerkiej. Pierwsza drużyna posiada jedynie komplet strojów Addidas, zakupiony zresztą z kar nakładanych na piłkarzy.

Najtrudniej gra się Avii z lokalnymi rywalami, tymi zza miedzy (tylko z Motorem współpracą układa się bez zgrzytów i aż dziw na tym tle dzika animozja kibiców obu klubów). To wręcz niewiarygodne, że w dobie wzmożonej kooperacji środowisk siedem drużyn naszego makroregionu nie może mieć pewności, czy jedna z nich zdoła z „lubelskiej” grupy wywalczyć awans. Jest w tym przynajmniej coś wzmacniającego wiarę w czystość sportowej rywalizacji. A Siarka Tarnobrzeg, najgroźniejszy rywal, także nie powiedziałła jeszcze ostatniego słowa.

Drużyna świdnicka w takim stanie, jak obecnie, dokonać musi i zmian wewnętrznych. Trzeba wzmocnić przede wszystkim atak. Blok defensywy jest bardzo solidny (na miarę środka drugoligowej tabeli), w linii pomocy istnieje potencjalnie największy wybór zawodników, ale napad jest mało skuteczny i wąły fizycznie. Trzeba także poprawić technikę i wciąż pracować nad wytrzymałością. Trenerzy i zawodnicy wierzą w awans. Bez takiej wiary nie można by zresztą o nim marzyć. Wierzą też i ci najwierniejsi kibice, którzy tysięczną garstką zapełniają trybuny na ligowych potyczkach. W klubie czuje się na pewno powiew nowego wiatru i gdyby nie „jarocińska wpadka” optymizm mógłby być pełny. Czy jest jednak sens walczyć o wyższą klasę, skoro zainteresowanie sponsora (załogi WSK) jest tak mizerne?

„Oczywiście, że tak — odpowiada trener Galek. — Powodzenie jest w sporcie wprost proporcjonalne do dobrej formy. Jeśli będą wyniki, będą i kibice”.

I mimo iż po pawilonie klubowym snuje się jeszcze nostalgia za utraconą wielkością i mimo iż tylko rekiny zachowały w naszej dobie szansę, ja także nabrałem wiary, że dobra piłka powróci do Świdnika. Potrzebna jest ona miastu, całemu regionowi, a najbardziej samym piłkarzom, aby mogli znów jawnie wykonywać swój zawód.

A nad WSK nadciąga w tym roku jubileusz 35-lecia.

Krzyżówka nr 2 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Pierwsze litery 22 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko pisarza oraz tytuł utworu, z którego pochodzi cytowany fragment. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami, a podwójne końcom zdań.

Wyrazy pomocnicze:

1. szacunek wynikający z obawy — 16. 5. 57. 90. 38. 147. 77.
2. rodzinny kraj — 12. 1. 27. 115. 107. 131. 25. 104.
3. wytwórnia monet — 7. 151. 84. 105. 91. 53. 143.
4. miejsce pozbawienia wolności — 10. 174. 82. 3. 24. 41.
5. kontrtorpedowiec — 9. 66. 47. 40. 23. 93. 119. 108. 85. 14. 138.
6. smutek, żmartwienie — 78. 102. 46. 162. 176. 63.
7. miasto wojewódzkie — 11. 58. 63. 76. 80. 34. 95.
8. prawdziwość, rzeczywistość — 19. 156. 106. 67. 133. 163. 26. 36. 103.
9. jedynka z zerami na końcu — 21. 116. 97. 146. 42. 71.
10. tam przymierze sanacji z arystokracją — 20. 96. 100. 73. 128. 150. 56. 69.
11. połączony promem ze Swinoujściem — 8. 39. 33. 51. 64.
12. ilościowy przechodzi w jakościowy — 37. 45. 65. 113. 94. 135.
13. XVIII wiek w kulturze — 17. 6. 61. 178. 70. 118. 139. 155. 112. 79.
14. podziemna lodyga wieloletnich roślin zielnych — 52. 165. 136. 177. 144. 75.
15. dorz — 35. 172. 148. 88. 124. 114. 109.
16. kierunek, skłonność — 4. 49. 145. 30. 86. 149. 55. 50. 154.
17. znak Związku Polaków w Niemczech — 101. 72. 173. 123. 175.
18. ośr adm. zakarpackiego obwodu Ukr. SRR — 89. 99. 54. 60. 142. 32. 13.
19. drogi przez rzeki — 18. 121. 126. 140. 22.
20. rzymski bóg morza — 83. 92. 125. 127. 134. 159.
21. Przesmyk Koryncki — 29. 167. 120. 15.
22. wydanie papierów wartościowych — 2. 171. 62. 117. 157. 160.
23. wynagrodzenie okresowe za pracę — 59. 158. 110. 152. 170. 142.
24. wciągnięcie powietrza do płuc — 161. 81. 141. 48. 28.
25. polski parlament — 130. 169. 74. 93.
26. czechosłowacki dopływ Dunaju — 43. 166. 87.
27. sztuczna postawa — 44. 129. 153. 137.
28. irytacja, złość — 122. 168. 31. 111. 164.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-930 Lublin). Wśród autorów prawdziwych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

			1	2	3	4	5	6	7	8		9	10	11	12	13	14
15		15	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28		29	30
31	32	33	34	35			36	37	38	39	40	41	42		43		44
45	46	47	48	49		50	51	52		53	54	55	56	57	58		59
60	61	62	63	64	65	66	67	68		69	70		71	72	73		74
75	76	77		78	79	80	81	82	83	84	85	86		87	88	89	90
91	92		93	94	95	96	97	98		99	100		101	102	103	104	105
106	107	108	109	110	111		112		113	114	115	116	117	118	119		120
121		122	123	124	125	126	127	128	129		130	131	132	133	134	135	136
			137	138	139		140	141	142	143	144		145	146	147	148	149
150	151		152	153	154	155	156	157	158		159	160	161	162	163		164
165	166	167	168	169	170		171	172	173	174	175	176	177	178			

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 26 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Przeciwstawianie argumentów rozumowych fanatyzmowi Akawji nie miało by sensu. Nie dlatego, jakoby Akawji brak było rozumu. Przeciwnie, Akawja miał rozum nie mniejszy od rozumu Józefa, ale wiara jego była dostatecznie silna, by pokonać rozum.

LION FEUCHTWANGER
„Wojna żydowska”

Nagrodę wylosowała Ryszarda Stefańska, ul. Duleby 46 m. 2, 20-336 Lublin